

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Roman Wojtyło – *W tajgach Sybiru i na stepach Ukrainy*

Roman Wojtyło – urodzony 21.10.1932 roku w miejscowości Kuropatniki, pow. Brzeżany ; woj. tarnopolskie w rodzinie chłopskiej. 10 lutego 1940 roku został wywieziony wraz z rodzicami – Franciszkiem i Marią oraz siostrą Władysławą na Sybir do miejscowości Borzowo w Krasnojarskim Kraju. Do Polski powrócił z rodziną w styczniu 1946 roku (wszyscy zamieszkali w Ulesiu w powiecie legnickim). W Legnicy ukończył w 1948 r. szkołę podstawową, a następnie w 1952 liceum ogólnokształcące. W latach 1952-1957 studiował na Wydziale Budownictwa Politechniki Wrocławskiej i uzyskał dyplom inżyniera budownictwa lądowego (specjalność konstrukcji budowlanych). Pracę zawodową rozpoczął w 1957 roku na stanowisku kierownika budowy. W kolejnych latach pracował jako inspektor nadzoru budowlanego oraz zastępca dyrektora ds. technicznych w różnych firmach budowlanych. Jednocześnie przez kilka lat nauczał w wieczorowym Technikum Budowlanym w Legnicy. Odznaczony, między innymi, Srebrnym Krzyżem Zasługi za wkład w rozwój budownictwa, Złotą Odznaką Zasłużony dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Za budowę Domu Harcerza w Legnicy otrzymał w 1989 roku Honorową Odznakę Przyjaciół Harcerstwa. 21 października 1992 roku przeszedł na emeryturę. W 1999 roku wstąpił do Związku Sybiraków. 21 września 2005 roku został odznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzyżem Zesłańców Sybiru. W 1958 roku zawarł związek małżeński z Marią z domu

Szelemiej. Zamieszkali oboje w Legnicy, gdzie żyją do tej pory. Mają dwie córki i syna. Wszyscy troje są absolwentami wyższych uczelni Wrocławia.

*

Boże, ile to dni, ile lat minęło od 1 września 1939 roku, gdy po raz pierwszy w życiu miałem pójść do szkoły w mojej rodzinnej wsi, Seńkowie Kuropatnickim (powiat Brzeżany, województwo tarnopolskie). Dzień wstał jasny, słoneczny, na niebie nie było ani jednej chmurki, na trawy i drzewa opadła rosa i skrzyła się w słońcu jak iskierki ognia. Wstałem wcześniej niż było konieczne, nie mogłem spać podniecony moim szkolnym początkiem. Wyszędłem na podwórko, popatrzyłem na gołębniki umocowane pod okapem stajni. Na szerokiej desce biegnącej przez całą długość stajni, pod gołębnikami siedziały gołębie różnych ras i kolorów. Drzwi do stajni były otwarte, gdyż ojciec i mama wstali wcześniej, by nakarmić zwierzęta i wydoić krowy. Przy żłobach przypięte na łańcuchach stały dwie krowy wiśniowe i jałówka także wiśniowa, oraz dwa gniade konie. Sierść na nich lśniła, były dobrze utrzymane i wyczyszczone jak co dnia przez ojca. Popatrzyłem szczególnie na konie, które były i są miłością mojego życia. Klacz oderwała głowę od żłobu i cicho zarżała, po czym znowu schyliła się nad żłobem z obrokiem. Opuściłem stajnię w momencie, gdy mama wyszła z komory z dużym blaszanym garnkiem wypełnionym ziarnem. Sypnęła przed stajnią kilka garści zboża. Ze wszystkich kątów podwórza zaczęły się zbiegać kury i kaczki, gołębie zaś zrywały się z deski, siadały na ziemię i dziobały rozrzuconą karmę. Samce gruchały, kręcąc się w koło i strosząc pióra, a samiczki – zapobiegliwsze skutecznie napełniały swoje wola.

Mama wysypała resztki ziarna między jedzące ptactwo i zabrała mnie do kuchni na śniadanie. Przy drewnianym stole siedziała już moja starsza o półtora roku siostra Władzia, jadła chleb z masłem, popijając przegotowanym mlekiem. Ona też miała iść do szkoły, ale już do drugiej klasy. Zjadłem kromkę chleba, gdy do kuchni pospiesznie wszedł ojciec. Twarz jego, zawsze pogodna, była blada i zaszepiona. Stał przez chwilę na środku pomieszczenia po czym spokojnym, ale przytłumionym głosem powiedział: „Wyjdźcie wszyscy na dwór” i ruszył ku drzwiom. Wyszliśmy na podwórze i usłyszeliśmy jakiś szum i buczenie dochodzące z góry. Słońce było jeszcze nisko nad horyzontem, a więc nas nie oślepiało. Wpatrzeni w niebo zobaczyliśmy bardzo wysoko kilkanaście świetlistych punktów, poruszających się stosunkowo szybko. Były to samoloty lecące w uformowanym szyku trójkowym. Za chwilę, dużo niżej niż lecące bombowce, zaczęły wybuchać pociski artylerii przeciwlotniczej wystrzeliwane z Brzeżan, gdzie stacjonował 51 Pułk Wojska Polskiego. Po kilku minutach strzelanie ustało, artylerzyści zorientowali się, że ostrzał jest nieskuteczny. Samoloty zaś w zwartym szyku leciały dalej w kierunku Tarnopola.

Ojciec stał jeszcze dłuższą chwilę, a my wpatrzeni w niego czekaliśmy, co powie. Wreszcie ojciec wypowiedział jedno słowo – WOJNA! Od strony Kuropatnik dało się słyszeć bicie dzwonów kościoła parafialnego. Po jakimś czasie mieszkańcy wsi zaczęli wychodzić na wiejską drogę i gromadami szli w kierunku szkoły, gdzie było jedyne we wsi radio głośnikowe. Wreszcie Warszawa nadała komunikat, że rano Niemcy napadły na Polskę jednocześnie z kilku stron. Ludzie dyskutowali, przekomarzali się, czy wojna długo potrwa, kto wy-

gra, jakie czekają nas zdarzenia. Wreszcie zaczęli się rozchodzić do codziennych zajęć, których we wrześniu nie brakowało. Z chwilą wybuchu wojny ogłoszono powszechną mobilizację, co znaczyło, że mężczyźni zdolni do służby wojskowej mieli się niezwłocznie stawić w swoich jednostkach wojskowych. Z mojej rodziny dotyczyło to wujka Michała Białoskórskiego i wujka Józefa Zielonki. Pułk 51 z Brzeżan także wyruszył na front zachodni. Koszary opustoszały. Pozostała tylko część kompanii wartowniczej i niezbędna obsługa obiektów wojskowych. Odchodzące wojsko pozostawiło kilkanaście sztuk karabinów maszynowych ciężkich i lekkich oraz kilkadziesiąt zwykłych karabinów. Pozostawiono też znaczną ilość amunicji do tej broni. Zaczęły krążyć pogłoski, że z chwilą odejścia wojska, ukraińskie grupy mają organizować napady na polskich mieszkańców Galicji Wschodniej. Na rzeczywiste zagrożenie nie trzeba było długo czekać.

W pierwszych dniach września tu i ówdzie dochodziło do napadów, rabunków, pożarów i mordów. Na Kresach mieszkało około 50% Ukraińców, a więc zagrożenie było realne i bliskie. W naszych stronach do takich zdarzeń dochodziło coraz częściej, a poszczególne wsie nie mogły się skutecznie bronić. O konieczności opuszczenia wsi zawiadomił nas sąsiad – Ukrainiec Dymytr Kuciel, działacz organizacji ukraińskich. Był studentem Politechniki Lwowskiej, miał około 22 lat. Dwóch jego młodszych braci uczyło się w średniej szkole w Brzeżanach. Znał mojego ojca od jego przyjazdu z województwa krakowskiego, polubił go i zawsze mu sprzyjał. Napady na Polaków zdarzały się już każdej nocy i nie mogliśmy zwlekać z ucieczką do Brzeżan. Wszystkie polskie rodziny 8-go września przygotowały drabiniaste wozy, załadowały na nie wiązki siana, worki owsa dla koni, żywność dla ludzi, poduszki, pierzyny, ubrania, naczynia kuchenne itp. i wyruszyły konwojem kilkunastu wozów. Mężczyźni zabrali co kto miał z broni, a więc rewolwery, strzelby myśliwskie, szable i bagnety. Przywiązane do wozów krowy szły razem z nami. Podróż przebiegła spokojnie. Do Brzeżan było około 10 km, na miejsce dotarliśmy koło południa. Każdy szukał miejsca u znajomych gospodarzy rozsianych na obrzeżach miasta. Naszą rodzinę i Wojciecha Zielonki przygarnął Stanisław Skrzypek, zapewnił naszemu bydłu miejsce i pożywienie. Ludziom pożywienie zagwarantował sąsiad Skrzypka Żyd – aptekarz Szymon Podoszyn. Tam po raz pierwszy w życiu jadłem rosół wołowy z makaronem.

Rozboje na wsiach stały się powszechne. Ukraińcy stosowali przemoc pod hasłem „Polaków wyreżem, Mazurów wydusim, swoją Ukrainę wybudować musim.” Mazurami nazywali ludzi takich jak moi rodzice – przybyszów z centralnej Polski. Jak się później okazało, w Seńkowie pozostała jedna staruszka, Polka z rodziny Skotnickich. Uważała, że jest za stara, aby uciekać. Rozboje wciąż trwały, a nawet zauważono, że w nocy grupy „rezunów” podchodzą do obrzeży Brzeżan, gromadząc środki do zasadniczego szturm na miasto. Ale jego mieszkańcy również nie pozostawali bezczynni. W miejscach najbardziej narażonych na atak rozmieszczono karabiny maszynowe, wyznaczono posterunki. Pozostałym żołnierzom i młodzieży męskiej skupionej w organizacji „Strzelec”, oraz mężczyznom, którzy nie musieli się zgłosić do wojska rozdano posiadaną broń i amunicję. 10 września nocą nastąpiło pierwsze uderzenie na Brzeżany. Uzbrojeni w strzelby, pistolety, szable i siekiery „rezuny” uderzyli na przedmieścia, ale spotkał ich zmasowany ostrzał z karabinów maszynowych i

innej broni, tak że po dłuższej wymianie ognia musieli się wycofać na całym froncie. W ciągu dnia nie było żadnej strzelaniny. Polskie patrole przeczesywały pola i zagajniki na obrzeżach miasta, znalazły kilku zabitych Ukraińców i kilka martwych koni. Po naszej stronie było tylko dwóch rannych.

Następna noc była w zasadzie spokojna, tylko w miejscach oddalonych od miasta widać było łuny pożarów i słychać było chaotyczne wystrzały. Kolejnej nocy tylko małe grupy banderowców atakowały przedmieścia, ale nigdzie nie osiągnęły zamierzonego celu. Nadszedł wreszcie dzień 13 września. Pod wieczór na polach i zagajnikach niedaleko od miasta pojawiły się zrazu nieliczne, później większe i liczniejsze oddziały piesze i konne. O zmroku dało się zauważyć ruchy grup napastniczych. Jedni czołgali się w rzędach ziemniaków, inni, kryjąc się w zaroślach i polach kukurydzy, podchodzili coraz bliżej miasta. Gdy się już całkiem ściemniło, oddziały ukraińskie z ogromnym wrzaskiem uderzyły ze wszystkich stron na miasto. Był to ich fatalny błąd. Gdyby wielkimi siłami natarli w jednym wybranym miejscu, mogliby przełamać opór obrońców. A tak karabiny maszynowe zrobiły swoje i napastnicy tym razem ponieśli sromotną klęskę, mając wielu zabitych i rannych. Około północy bitwa się zakończyła. Dzień był znowu spokojny. Ukraińcy zbierali z pola zabitych i rannych. Polacy im w tym nie przeszkadzali. Do miasta dochodziły słuchy, że Ukraińcy dopuszczają się straszliwych zbrodni na żołnierzach, którzy wracali do domów z rozbitych przez Niemców oddziałów polskich. Kopali ogromne jamy w ziemi i złapanych żołnierzy poddawali swoistemu egzaminowi. Kazali żołnierzom klękać nad wykopem i odmawiać „Ojcze nasz” po ukraińsku. Ci, co długo mieszkali na Kresach lub pochodzili z mieszanych rodzin polsko-ukraińskich, przeważnie umieli odmawiać pacierz po Ukraińsku. Byli wtedy zwalniani i szli do swoich domów. Ci zaś, którzy nie umieli, byli zabijani strzałami w tył głowy i upadali do jam. Po napełnieniu jam wrzucano do nich gałęzie i przysypywano 30 cm warstwą ziemi. Z dołów wydobywały się jeszcze jęki, a gałęzie się ruszały. Taki egzamin przeszedł mój wuj Michał Białoskórski. Na szczęście jako urodzony na wschodzie umiał się „właściwie” modlić.

Trzeci i ostatni szturm Ukraińców nastąpił w nocy z 15 na 16 września. Został również krwawo odparty. 17 września rozeszła się wiadomość, że Związek Radziecki bez wypowiedzenia wojny uderzył od wschodu na Polskę. W dniu 18 września okazało się to rzeczywistością potwierdzoną faktem zbliżania się do Brzeżan kolumny czołgów. Za nimi szła konnica, słynne taczanki¹ oraz piechota. Zmasowane natarcie nie napotkało większego oporu z polskiej strony. Naczelne dowództwo Wojska Polskiego wydało rozkaz niestawiania wobec Rosjan oporu, chyba że nastąpi bezpośredni atak. Ukraińcy też wiedzieli, że zbliżają się „ruskie” wojska. Postanowili je uroczyście przywitać, licząc na to, że pomogą im w stworzeniu „Samoistnoji Ukrainy” i rozprawią się z Polakami. Za miastem na tarnopolskiej szosie wybudowali z drewna tryumfalną bramę ozdobioną gałęziami świerków, brzoź oraz jesiennymi kwiatami. Wysoko na bramie umieścili ukraińską żółto-niebieską flagę. Przy bramie zgromadziło się wielu Ukraińców, był komitet powitalny, prawie wszyscy mieli na sobie ukraińskie wyszywane koszule. Widocznej broni nikt nie posiadał, jedynie członkowie ko-

¹ Taczanka – rosyjski lekki, 2. albo 4-kołowy wózek z karabinem maszynowym, używany dawniej w kawalerii (w Rosji w czasie wojny domowej 1918-20, w Polsce w okresie międzywojennym).

mitetu nosili przypasane krzywe szable. Pierwszy czołg podjechał prawie pod bramę i zatrzymał się. Pozostałe czołgi, a było ich około 30, też stanęły. Z wieżyczek czołgów wychylili się oficerowie rosyjscy. Ludność polska zaczęła nieśmiało zbliżać się do miejsca powitania. Do wszystkich dotarły już wieści, że wojska sowieckie kategorycznie zabraniają napadać, mordować i palić polskich mieszkańców. W skrajnych wypadkach wymierzają kary, do rozstrzelania włącznie. Rozpoczęła się część powitalna. Dowódcy pierwszego czołgu wręczono kwiaty, podano do ucałowania bochen chleba, potem rozpoczęły się przemówienia, chwalaące Armię Czerwoną, wyzwolicielkę ludu ukraińskiego. Lejtnant wyszedł na wieżyczkę czołgu, popatrzył na flagę i zapytał: „A eto chto?” Zaczęto mu tłumaczyć, co oznacza wywieszona flaga i czym ona jest dla Ukraińców. Oficer stał chwilę, chwycił za drzewce flagi, złamał je, a płótno rzucił na ziemię. Schylił się nad włazem, coś zawołał do środka i w jego ręce znalazł się czerwony sztandar z sierpem i młotem. Umocował go na bramie i dał komendę do odmarszu. Czołgi ruszyły, rozwijając coraz większą prędkość. Ukraińcy stali zdumieni z otwartymi gębami. Tak zakończył się na długo ich sen o „Samoistnoji Ukrainie”. Z chwilą wkroczenia oddziałów sowieckich, na terenie wschodniej Polski ustały napady na ludność polską. Czas było wracać do swoich wsi. Jedni mieli do czego wracać, gdyż domy nie uległy spaleni. Zrabowano z nich co bardziej wartościowe rzeczy, wykradzono nawet świnię, gęsi, kury i inny drobny inwentarz. W innych wsiach spalono pojedyncze zagrody lub wszystko co dało się spalić.

Uciekinierzy do Brzeżan powoli wracali do swoich wsi, wioząc ze sobą ocalone rzeczy, prowadząc bydło uwiązane do wozów. My z Seńkowa całą gromadą ruszyliśmy też w drogę powrotną. Cały sznur wozów ciągnął powoli, zatrzymał się tylko w środku wsi przy zabudowaniach rodziny Skotnickich. Ci, którzy wyprzedzili całą kolumnę, dali znać że stało się coś strasznego. Na podwórzu przewieszane przez dyszel kieratu leżały zwłoki staruszki, która została we wsi. Odcięta kosą głowa spoczywała na pniaku ściętego drzewa, patrząc martwymi oczyma na coraz liczniejszą grupę zbiegających się ludzi. Rozległy się krzyki, płacz kobiet i dzieci. Po jakimś czasie ludzie zaczęli się rozchodzić. Wozy ruszyły, bydło ryczało, konie rżały czując z daleka przytulność swoich stajni. W naszym gospodarstwie podobnie jak w innych pozostało parę kur i kaczek, których nie zdołano schwytać i gołębie trudne do złapania. Życie zaczęło wracać do stanu poprzedniego. Ludzie kopali ziemniaki, młócili cepami zboże, orali pod jesienne zasiewy. Po kilku dniach zaczęła się nauka w szkole i wtedy właśnie rozpoczął się mój rok szkolny.

Mijały dni i tygodnie, skończyła się jesień, nadchodziła w tym roku bardzo mroźna zima. Święta Bożego Narodzenia minęły spokojnie. Śniegu napadało około pół metra. Mróz trzymał ciągle, osiągając w niektóre noce minus 40°C. Tak dotrwaliśmy do 10 lutego 1940 roku. Nad ranem około godziny piątej rozległy się na podwórzu krzyki w języku ukraińskim i rosyjskim, walenie do drzwi i groźby, że drzwi zostaną rozwalone jeśli nie otworzymy. Ojciec i matka zerwali się z łóżka, ojciec drżącymi rękami odemknął zamek. Do izby wpadło kilka osób cywilnych oraz dwóch ruskich żołnierzy w szarych szynelach, spiczastych czapkach, z długimi karabinami z osadzonymi na nich bagnietami. Rozległy się chaotyczne wrzaski, jedni rewidowali ojca, inni przeszukiwali wszystkie pomieszczenia. Kazali ojcu i matce szybko się ubrać, przywieźć dzieci i pakować do worków chleb, kawałki wiskę w komorze słoniny, mąkę i ziemniaki. Kazali też zabierać pierzyny, poduszki i dodatkową ciepłą odzież i

buty. Na podwórzu też rozlegały się krzyki, wyciągnięto ze stodoły sanie, wrzucono do nich dużo słomy i zaprzęgano wyprowadzone ze stajni konie. Konie się szarpały w obcych rękach, zmuszono więc ojca do ich zaprzęgnięcia. Nakazano umieścić na saniach spakowane zapasy, zawinięte w pierzyny dzieci, mróz był bowiem siarczysty, około minus 30°C. W otoczeniu eskorty sanie wyjechały na drogę, gdzie widać już było inne zaprzęgi. Sanie ustawiono w kolumnę i poleciono jechać do Kozowy. Ze wsi wywieziono wszystkie polskie rodziny zostawiając jedynie Ukraińców – Bunię, Ostapa i Drogosza, ale zabierając Kuciela z rodziną za to, że jego synowie sprzyjali Polakom i nie włączali się do zbrojnych napaści. Z Seńkowa wywieziono rodziny: Saczyńskich, Mikosiów, Stefanowiczów, Więckiewiczów, dwie rodziny Łazów, kilka rodzin Skotnickich – Ignaca, Adolfa i Henryka, rodziny Kudłów, Zielonków i innych Polaków, których już nie pamiętam.

Kolumna ruszyła, ja i siostra okutani pierzynami jechaliśmy w saniach, rodzice tak jak wszyscy dorośli szli piechotą przy saniach. Konwój otaczali Ukraińcy, a przy każdym saniach po obu stronach kroczyli sowieccy żołnierze. W takim szyku konwój dotarł do Kozowy na stację kolejową. Na bocznym torze stał pociąg, składający się z kilkudziesięciu wagonów bydłowych z zakratowanymi drutem kolczastym okienkami. W wagonie na kawałku blachy ustawiony był żelazny piecyk, tzw. „koza” z rurą blaszaną wyprowadzoną ponad dach. W kącie przy drzwiach wagonu wycięto w podłodze okrągłą dziurę, która miała służyć jako ubikacja. Przy piecyku leżały dwa podkłady kolejowe z wbitym w nie siekierą, niewielka ilość kawałków węgla kamiennego i szufelka. W każdym wagonie po obu stronach wykonano z grubych nieheblowanych desek po dwa pomosty.

Sanie z wygnańcami podjeżdżały do wagonów, wrzucano do środka słomę z sań, następnie wpędzono do środka ludzi, wrzucono zapasy żywności, pościel i odzież. Drzwi wagonu zasunięto i od zewnątrz zamknięto. Drzwi po drugiej stronie wagonu były zamknięte na stałe. Przed zamknięciem wagonu konwojenci rosyjscy (Ukraińców już nie było) pozwolili do posiadanych wiader i innych naczyń nabrać śniegu. Pierwszą czynnością mężczyzn w wagonie było narąbanie drewna z podkładów i zapalenie w piecyku dla ogrzania wagonu i zmarzniętych „na kość” ludzi. Następnie ugotowano z roztopionego śniegu herbaty dla wszystkich w wagonie. Rozścielono na pomostach słomę, ułożono pościel i otulono nią małe jak my dzieci. Do naszego wagonu wtłoczono, oprócz naszej, rodziny: Wojciecha Zielonki, Jana Kudły, Michała Więckiewicza, Stanisława Rokosza; razem 25 osób. Na podłodze ze względu na zimno spać się nie dało. Ulokowano tam wszystkie bagaże, a ludzie kładli się spać na czterech pomostach. Tłok był niemiłosierny, ale miało to tę zaletę, że ściśniętym ludziom było cieplej. Na ścianach wagonu i oknach osiadła gruba warstwa szronu. Późnym wieczorem podstawiono do składu lokomotywę parową, wagony zadrżały i rozpoczęła się podróż w nieznane. Wagony stukały monotonna na stykach szyn, ludzie w wagonach płakali, odmawiali na głos modlitwy lub śpiewali płaczącym głosem pobożne pieśni. Na drugi dzień otwarto na chwilę drzwi wagonu i pozwolono dwóm mężczyznom zabrać do naczyń śniegu, po czym wagony zamknięto aż do następnego dnia. Rodziny kolejno gotowały posiłki, gdyż na piecyku mieściły się z trudem trzy garnki. Mimo palenia w piecyku w wagonie było bardzo zimno, gdyż między deskami ścian były szpary. Obtykano je kawałkami koca lub zniszczonych ubrań. Przy otworze w podłodze zrobiono

zasłonę z koców, by umożliwić nieskrępowane wypróżnianie. Otwór zatykano wiechciem skręconym ze słomy. Żołnierze – konwojenci jechali w wagonie osobowym przyczepionym na końcu pociągu i grzali się przy takich samych piecykach. Z chwilą zatrzymania się pociągu wybiegali z wagonu, ustawiali się przy drzwiach, każda dwójka przy swoim wagonie i czekali na dalsze rozkazy. Bez rozkazu nie zrobili nic, nie chcieli słuchać próśb o otwarcie drzwi, by nabrać śniegu czy wody. Tam gdzie parowóz musiał uzupełniać wodę, dowódca pociągu zezwalał nabrać wody z pompy. Dwóch ludzi z każdego wagonu mogło wlać wody do czterech naczyń. Co kilka dni żołnierze wrzucali do wagonu jeden lub dwa zużyte podkłady kolejowe, kilka kawałków węgla, parę bochenków razowego chleba. Był to jedyny pokarm, jaki nam dawano przez cały czas podróży.

Pewnego dnia, gdy pociąg stanął na jakiejś większej stacji, konwojenci otworzyli drzwi i kazali dwóm mężczyznom wziąć naczynia i pod konwojem udać się do budynku stacyjnego po „czaj”. Ci, którzy cokolwiek umieli po rosyjsku twierdzili, że dają gorącą herbatę. Mój ojciec Franciszek i Karol Więtekiewicz, przedwojenny maszynista parowozu, chwycili dwa wiadra i dwa większe garnki i ruszyli do wskazanego domu. Kucharz nalał im z kotła jakiegoś płynu. Kolejka do kotła była długa, nie było czasu na zastanawianie się, co to jest. Wyszli więc z budynku i zaczęli sprawdzać, co im nalano. Okazało się, że jest to jedynie gorąca czysta woda. Postanowili złożyć reklamację. Byli przekonani, że nalano im z niewłaściwego kotła. Gdy podeszli do wydającego napój i powiedzieli, o co im chodzi, oficer stojący przy kotle rzucił im w twarz przekleństwa z użyciem „twoja mać” i kopniakami wyrzucił ich na dwór. W ten sposób nauczył ich, co po rosyjsku oznaczało wtedy słowo „czaj”.

W dniach kiedy otwierano wagony na postojach poza osiedlami, konwojenci krzyčeli pytająco: „Miortwyje jest?” (czy są martwi?). Z wagonów, które zgłaszały taki fakt, wyciągano zmarłych i zagrzebywano w zaspach śniegu przy torach. Zmarłych było niemało, przeważnie dzieci, starcy i kobiety. Z naszego wagonu zmarła Katarzyna Dobosz i została „pochowana” tak jak wszyscy inni. Wzdłuż całej trasy pociągu biegnącej przez radziecką Ukrainę, do wagonów w czasie ich postoju dążyły ukraińskie dzieci niesamowicie obdarte, okutane w łańchmany, z owiniętymi szmatami nogami, z butelką lub dwiema zamrożonego mleka w rączkach. Próbowaly dostawać się do wagonów, by wymienić mleko na kromkę chleba. Twarze ich były wynędzniałe, często spuchnięte od głodu, w oczach widać było gorączkę i strach. Konwojenci nie dopuszczali dzieci, grozili strzelaniem. Taki obraz sowieckiego „dobrobytu” uświadamiał Polakom, do jakiego „raju” nas wieziono.

Przez Kijów, Charków, Omsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk dojechalismy do Komska w środkowej Syberii. Tu kończyła się podróż koleją, a trwała trzy tygodnie. Z pociągu wypędzono około trzystu osób i zagnano wraz z tobołkami do poczekalni dworcowej oraz innych pomieszczeń. Tłok był niesamowity, trzy duże żelazne piece rozgrzane do czerwoności dawały ogromne ilości ciepła. Przy tak dużym zatłoczeniu zapanowało straszne gorąco i zaduch. Przy jednej ze ścian przebiegała rura wodociągowa zakończona kranem. Zawór był chyba specjalnie uszkodzony, gdyż nie było pokrętła, a woda jedynie bardzo cienką stróżką ciekła do zardzewiałego zlewu. Natychmiast przy kranie zebrały się dziesiątki osób z naczyniami chcąc nabrać wody do picia. Powstały targi, krzy-

ki, przekleństwa i przepychanki, bo każdy chciał być pierwszy, a woda ciekła tak wolno, że na napełnienie szklanki trzeba było czekać kilka minut. Stojący na końcu kolejki w pewnym momencie rzucili się do drzwi wejściowych. Wyrwali je z zawiasów i rzucili się z naczyniami do zasy sniegu. Konwojenci zaczęli pędzić ludzi do wnętrza poczekalni kolbami, nie żałując razów. Rozległy się strzały ostrzegawcze. Zanosilo się na strzelanie do „uciekierów” ostrą amunicją. Wszystkich spędzono do środka. Jedni nabrali sniegu, innym się to nie udało. Do następnego dnia nie wszyscy dożyli. Zmarło kilkanaście osób z pragnienia i gorąca. Zmarłych wywlekano za nogi na zewnątrz. Co się z nimi dalej działo, już nikt się nie dowiedział.

Następnego dnia wcześniej rano podjechała pod dworzec kolumna samochodów ciężarowych ZIS-5 i zaczęło się ładowanie ludzi. Na skrzyniach aut było trochę ośnieżonej słomy, na którą rzucano tobołki z pościelą, worki z resztkami żywności i naczyniami kuchennymi. Mniej więcej za godzinę kolumna ruszyła przetartą wcześniej drogą. Tuż za miastem kończyła się otwarta przestrzeń, a zaczynała się tajga. Po obu stronach drogi rosły w nieładzie ogromne sosny, modrzewie i brzozy. Pogoda była fatalna, wiał silny wiatr, co w tajdze jest rzadkością. Unosiły się w powietrzu chmury ziarnistego sniegu. Ludzie zasłaniali się czym mogli. Dzieci owinięte w pierzyny i położone na poduszkach marzły mniej od starszych, których kilkoro zamarzło. O zmroku samochody dotarły do celu, jakim była duża osada, siedziba rejonu Aban. Samochody przejechały około stu kilometrów. Konwojenci mieli następnego dnia wrócić do Kanska, a straż nad zesłańcami przejął miejscowy oddział NKWD – rodzaj żandarmerii wojskowej. Żandarmi upychali przywiezionych do zamieszkałych domów, szkoły i innych ogrzewanych budynków, umożliwiając w ten sposób przetrwanie do rana. Ci, którzy mieli jeszcze coś do jedzenia, spożyli kolację, inni położyli się spać o głodzie, gdyż tubylcy sami nie mieli co jeść. Mogli tylko poczęstować gorącym „czajem”. Tak przetrwaliśmy do rana. O świcie w osadzie słychać było wielki ruch, rzenie koni, skrzypienie sań i przekleństwa woźniców. Wzdłuż ulicy przejeżdżały sanie z umieszczoną na nich skrzynią wyładowaną bochenkami razowego chleba. Każda polska rodzina otrzymała na śniadanie jeden bochenek, niezależnie od jej liczebności. Pod każdy dom, gdzie nocowali zesłańcy, podjeżdżały sanie zaprzężone w jednego konia. Na saniach była położona wiązka słomy. Zaczęło się ładowanie zesłańców na sanie po pięć, sześć osób. Słomą wyścielono sanie, ułożono poduszki i pierzyny, okutano w co się dało dzieci i starców.

Po upływie pół godziny konwój był gotów do drogi. Każdy woźnica kierował trzema saniami, to znaczy na pierwszych sadowił się sam, a za pierwszym zaprzęgiem szły kolejne dwa bez woźniców. Konie syberyjskie były tak wyszkolone, że idąc luzem nie zostawały dalej za poprzedzającym zaprzęgiem niż 3-4 metry. Nie było mowy o tym, żeby koń zboczył z drogi lub pozostał z tyłu. W zimie ewentualne zjechanie z trasy było zagrożone niezwłocznym atakiem wilków, a rzadziej nawet tygrysa lub niedźwiedzia. Konie doskonale to wyczuwały i biegły aż do upadłego. Na dany sygnał zaprzęgi ustawiły się w długim szeregu. Wozacy zaczęli strzelać z batów i konwój ruszył. Sań było około trzydziestu pięciu, zesłańców w sumie około sto dziewięćdziesiąt osób. Po wyjechaniu z osady po obu stronach drogi rozpościerała się tajga. Ogromne sosny, brzozy, modrzewie i cedry rosły na samej krawędzi drogi, poszycia leśnego nie było widać spod sniegu. Grubość pokrywy śnieżnej sięgała od jedne-

go do dwóch metrów. Dzięki Bogu wiatru nie było wcale, a śnieg iskrzył się w promieniach słońca. Temperatura wynosiła około minus 30°C. Jazda trwała aż do zmroku. Dojechaliśmy do Tanskiego Mostu. Był to kolchoz, gdzie na polanach leśnych uprawiano żyto, pszenicę, jęczmień i ziemniaki. Osada była stosunkowo duża, odległa od Abanu około 55 km. Sanie podjeżdżały do kolejnych domów i zesłańców kierowano do nich po kilka osób. Tubylcy podali na rozgrzewkę „czaju” oraz gotowanych w łupinach ziemniaków. Tak więc tej nocy nikt nie był głodny. Następnego ranka ceremoniał załadunku przeprowadzono sprawnie, na każde sanie załadowano wiązkę siana dla koni wiozących nas w dalszą drogę. I znowu jazda w kopnym śniegu, drogą wrytą wśród tajgi zaprzęgami konnymi, które wozily w zimie zboże do Abanu, bo w innej porze roku było to niemożliwe ze względu na podmokłe i bagniste tereny.

Podróż przebiegała sprawnie i spokojnie, chociaż mróz był -30°C i dmuchał niezbyt silny wiatr. Przed zmrokiem raptownie urwała się tajga i sanie wyjechały na ogromną zamrożoną rzekę. Była to rzeka Ana, dopływ Czumy. Czuma jest dopływem Angary, a ta z kolei dopływem Jeniseju, wpadającego do Oceanu Lodowatego. Ostatnim portem na Jeniseju jest Igarka, do którego spławia się drewno ze środkowej Syberii. Rzeką jechaliśmy kilka kilometrów aż do momentu, gdy na prawym brzegu ukazały się zabudowania obozu Borzowo. Było to miejsce docelowe naszego pobytu odległe od Tanskiego Mostu około 35 kilometrów. Był 6 marca 1940 roku.

Stromym podjazdem kolumna san wjechała do osady. Obóz składał się z kilkunastu już zamieszkałych baraków, piekarni, budynku służbowego dla straży, gdzie urzędowali i mieszkali wartownicy, oraz innych zabudowań pomocniczych, jak sklep, łaźnia itp. Rozpoczęło się wyładowanie skazańców. Rozmieszczano nas w barakach już zasiedlonych przez wcześniejszych zesłańców z Ukrainy i innych części ZSSR, co stwarzało niebywałe zagęszczenie ludzi i przedmiotów. Raptem przy jednych saniach rozległy się krzyki, płacz i zawożenia, okazało się bowiem, że w drodze zmarzło troje dzieci i jedna staruszka. Zmarłych ułożono pod ścianą baraku z zamiarem pochowania nazajutrz. Konie wyprzęgnięto i uwiązano u san, na których były wiązki siana. Dotychczasowi mieszkańcy (zwani przeze mnie „tubylcami”) przyjęli nas nie bez pewnego zniecierpliwienia, gdyż powstał w pomieszczeniach niesamowity tłok i zaduch. Zesłańcom wydano po 1-2 bochenków razowego chleba (przez cały pobyt na zsyłce nie widziałem żadnego białego chleba), a mieszkańcy ugotowali „herbatę”, tym razem z dodatkiem mrożonych jagód brusznicy. Następnego dnia rano wszystkie zaprzęgi pojechały do swoich macierzystych kolchozów.

Obóz był usytuowany wzdłuż brzegu w odległości 150-200 metrów od rzeki. Tylną ścianę osady stanowiła tajga. Wszystkie domy były drewniane z okrągłych bali, uszczelnione mchem i gliną zarówno od zewnątrz jak i od środka, dachy pokryte były gontem. Od strony tajgi stało ogrodzenie z drągów. Stanowiło to raczej symboliczne zabezpieczenie niż rzeczywistą ochronę. Od rana dwóch tubylców zostało wyznaczonych do zbijania trumien dla zamrożonych zesłańców. Do wykonania trumien użyto „dranic” (desek łupanych z kłoców drewna). Z takich dranic wykonane były wszystkie prcye, stoły, taborety itp. Kopanie grobów w zamrożonej ziemi nie było możliwe przed rozmrożeniem jej poprzez zapalenie ogniska z bali sosnowych. Pogrzeb odbył się według polskiego obyczaju, trumny niesiono na ramionach, śpiewano polskie pieśni żałobne, słyhać było

placz i lamenty żałobników. Nawet dzisiaj , gdy wspominam Sybir słyszę w uszach dźwięk pieśni żałobnych. Dozór strażników NKWD był raczej symboliczny. Było ich dziesięciu – dowódca i dziewięciu szeregowych. Uzbrojeni byli w karabiny oraz rewolwery typu „colt”. Mieli ostrą amunicję i bagnety.

Wyżywienie dla nowych zesłańców i tubylców wydawano codziennie na kartki według norm: 0,5 kg chleba na osobę pracującą, 0,3 kg na starców i dzieci. Przez kilka tygodni można było dostać 0,20 kg słoniny dziennie dla jednej rodziny. Po upływie tego czasu słoniny nie dawano aż do opuszczenia obozu w styczniu 1942 roku. Po trzech dniach wolnych przeznaczonych na przygotowanie pryczy, stołów, ławek itp. wypędzono wszystkich dorosłych zdolnych do pracy do wyřębu lasu. Na dwie osoby wydano piłę długą na 2 metry, po dwie siekiery, młot i trzy żelazne kliny do łupania pociętego drewna. Wydano też pół litra nafty, gdyż drewno było tak smolne, że po kilku pociągnięciach nie dało się wyciągnąć piły i należało ją posmarować naftą. Norma wynosiła 2 m³ na każdą parę. Ścięte i połupane drewno należało ułożyć w sągi. Do cięcia i łupania drewna przeznaczone były tylko kobiety. Mężczyźni ścinali drzewa o średnicy powyżej 80 cm (tylko sosny i modrzewie). Obcinali gałęzie i przycinali ścięte bale na długość 20 metrów. Kloce te leżały w lesie do kwietnia kiedy to ściągano je na brzeg rzeki końmi przysłanymi z kolchozów. Korowano specjalnymi żelaznymi łopatkami i układano w sztaple.² W czerwcu, lipcu i sierpniu spławiano tratwami do portu w Igarce. Gałęzie drzew należało spalić , co było bardzo istotne, gdyż można było wtedy się ogrzać. Polacy wykonywali pracę we własnych posiadanych ubraniach i obuwiu. Przy temperaturze minus 40°C musieli pracować, gdy temperatura spadała jeszcze niżej można było pozostać w domu. Takie traktowanie ludzi prowadziło nieuchronnie do odmrożeń, zapalenia płuc itp. Opiekę lekarską sprawował w obozie doktor Henryk Niepokulczycki, Polak, wcześniejszy zesłaniec. Litował się nad ludźmi, dawał zwolnienia w razie przeziębienia czy odmrożeń. Trwało to jednak niedługo, bo nasz sąsiad z Seńkowa zgłosił się do strażników z NKWD i oświadczył, że otrzymał zwolnienie, mimo że jest całkowicie zdrowy. Takie stwierdzenie doprowadziło do tego, że doktora zesłano na Sachalin do kopalni soli, gdzie po trzech miesiącach zmarł. Dowiedzieliśmy się o tym, gdy świadectwo zgonu przysłano do obozu. Na jego miejsce został przysłany felczer Aleksiej Zajcew, który zwolnień nie dawał, lecz leczył chorych tabletkami chininy i aspiryny. Doprowadziło to do tego, że na skutek odmrożeń i chorób umarło w ciągu zimy około 60 dorosłych osób. Zmarło też z głodu dwadzieścioro dzieci i starców. Z naszych sąsiadów zmarli: Jan Kudła – ojciec, jego żona Zofia, Stefan i Maria Saczyńscy, Rokosz (imienia nie pamiętam), Zygmunt Kisielewicz, jego trójka małych dzieci i żona. Co trzeci, czy co czwarty dzień odbywał się „polski” pogrzeb. Dozorcy obozowi zezwalali na śpiewanie polskich pieśni kościelnych, starali się na pogrzebach zachowywać dyskretnie i spokojnie. Rodziny, w których było dużo dzieci, skazane były (przy takim wyżywieniu) na śmierć głodową. Dotyczyło to również starców i ludzi niezdolnych do pracy. Do zwiększenia śmiertelności przyczyniała się również plaga robactwa w barakach. Niezliczona ilość pluskiew, pcheł, wszy, karaluchów itp. powodowała zachorowania na dur brzuszny, gruźlicę i inne choroby. Nikt jednak z dozoru nie zwracał na to uwagi – było to planowe podejście do zesłańców.

² Sztapeł – stos desek, worków, skrzyń itp. ułożonych na przekładkach warstwami jedne na drugich.

W obliczu tych męczarni i zgonów poniższe wydarzenie wydawać się może zdarzeniem jednym z wielu. Jeżeli jednak spojrzeć się na jego przyczyny, staje się to czymś strasznym. Rodzina Stefana Kukli składała się z dziewięciu osób: ojca, matki i siedmiorga dzieci od dwóch do piętnastu lat. Wszyscy dojechali do Borzowa, co było wydarzeniem nadzwyczajnym. Tu jednak znikome przydziały czarnego chleba, wszy i pluskwy doprowadziły do choroby – tyfusu. Żadnych lekarstw nie było. Wszystkie dzieci i matka zmarli na tę straszną chorobę w przeciągu jednego miesiąca. Zrozpaczony ojciec powiesił się na pasku od spodni na drzewie tuż obok wartowni.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka nas spotykała, była kąpiel w syberyjskiej „bani” – łaźni.³ Był tu taki obyczaj, że przy każdym prawie domu mieszkalnym była zbudowana taka „bania”. Robiono je, tak jak inne pomieszczenia, z kłóców drewna. Wewnątrz było palenisko zbudowane z polnych kamieni. Palono drewnem do czasu, aż kamienie były białe od gorąca, wtedy lano na nie wodę. Gorąca para nappełniała pomieszczenie. Były tam ławki w układzie schodkowym z brzoźowego drewna. Dlatego z drewna brzoźowego, że sęki nie są smolne, nie parzą kąpiących. Do kąpieli stosowano miotełki z wysuszonych, wraz liśćmi, gałęzi brzoźowych. Mężczyźni kąpali się razem z chłopcami, a kobiety z dziewczynkami. W zimie po zażyciu kąpieli parowej kąpiący wybiegali na zewnątrz, tarzali się w śniegu.

Gdzieś na początku marca 1940 roku zdarzył się w obozie niesamowity wypadek. W biały dzień na końcu osady rozległy się jęki mordowanego łosia. Łoś biegł wzdłuż baraków, dźwigając na grzbiecie ogromnego niedźwiedzia, który wżerał się w jego grzbiet i ryczał zajadle. Chwile życia łosia dobiegały końca. Zwierzę w pewnym momencie, wraz z niedźwiedziem runęło na ziemię. Drogą osiedlową przechodziło w tym czasie dwóch strażników z karabinami na ramionach. Zerwali natychmiast karabiny i oddali kilka strzałów w rzucające się zwierzęta. Strzały okazały się bardzo skuteczne. Zarówno niedźwiedź jak i łoś padły martwe. Wezwano niezwłocznie dowódcę ochrony, który przedarł się przez otaczający zwierzęta tłum i polecił wartownikowi niedźwiedzia obedrzeć ze skóry, skóry dostarczyć do biura, a mięso rozdać ludziom. Zaczęły się spory i przepychanki. W końcu mięso zostało rozdane po odpowiednim zaopatrzeniu strażników, a szkielety wyrzucono na zamrzniętą rzekę, gdzie zleciały się natychmiast stada wron i srok. Był to dzień sytości dla tych, co mięso dostali (bo nie dla wszystkich wystarczyło).

Pewnego dnia w marcu 1940 roku ludzi, którzy pracowali w lesie, skierowano do roboty na rzece. Polecono usunąć drewnianymi łopatami śnieg na długości około 500 metrów i szerokości około 50 m. Miało to być lotnisko dla lądowania samolotu dwupłatowego („kukuruźnika”). W rogach lotniska ułożono duże sterty suchego drewna. Samolot miał lądować w dzień, ale na wszelki wypadek

³ Bania – rosyjska odmiana sauny. Najważniejszą częścią bani jest pariłka (łaźnia parowa), w której bywa o wiele goręcej niż w fińskiej saunie. Rozgrzewa się tu kamienie w palenisku i chochlą z długą rączką wylewa na nie wodę. Często do wody dodaje się kilka kropli olejku eukaliptusowego lub sosnowego (czasem nawet piwa), a wrząca para roznosi zapach po całym pomieszczeniu. Do rytuału bani należy chłóście się brzoźowymi gałązkami. Może wydawać się to dziwne i z pewnością jest bolesne, ale w skutkach przyjemne i oczyszczające. Po „chłóście” brzoźowymi wtkami następuje kąpiel w basenie z lodowatą wodą, przed powtórny seans. Stali bywalcy bani odbywają od 5 do dziesięciu takich cykli w czasie 2 godzin.

zorganizowano duże ogniska, mogące naprowadzić samolot na pas w godzinach nocnych. Na drugi dzień samolot spokojnie wylądował. Przywiózł pocztę, sól, cukier, zapalki i inne drobne towary. W tym samym dniu odleciał. Taka dostawa odbywała się co kilka tygodni, gdy warunki atmosferyczne na to pozwalały.

Mróz panował dotkliwy od minus 20 do minus 40°C, ale wyczuwało się, że nadchodzi wiosna. Pod koniec marca zakończono wyrąb drewna przeznaczonego do spławu i wysyłki. Ścinano sosny i modrzewie o średnicy 25-35 cm; przeznaczono je do budowy dalszych baraków obozowych. Wśród zesłańców było kilkunastu mężczyzn, którzy już wcześniej budowali drewniane domy. Pod koniec kwietnia zbudowano 3 baraki. W każdym baraku było 10 pomieszczeń o powierzchni 15 do 25 m². Jedno pomieszczenie służyło jednej rodzinie. Zakwaterowano w nich rodziny zesłańców, którzy przeżyli najcięższe mrozy. Do ogrzewania pomieszczeń zastosowano prostokątne piecyki żeliwne, takie jakie były w istniejących barakach. Wodę noszono z przerębli wykutych w lodzie rzeki lub otrzymywano z topnienia śniegu. Wydawało się, że warunki pobytu ulegną znacznej poprawie. Tak by było, gdyby nie to, że w nowych barakach pojawiła się niezliczona ilość pcheł, pluskiew i wszy.

W pierwszych dniach maja lód na rzece Anie zaczął pękać, kry się ruszyły, nacierały na siebie, piętrzyły się, wydając przy tym hałas jakby strzelano z dział lub zrzucano bomby. Trwało to przez cały dzień i noc. W zakolu rzeki utworzył się zator lodowy, który woda pchała na stromy brzeg tak, że zwalę lodu sięgały 4-5 metrów wysokości. Wraz z lodem na brzegu znalazła się wielka ilość dużych, długości powyżej jednego metra, i mniejszych ryb różnego gatunku, a mianowicie, szczupaków, bielug, sumów i sarog. Ludność zabierała ryby do domów. Stanowiło to pożywienie inne niż polewka z rozgotowanego chleba, ale trwało zaledwie 2-3 dni.

Nadchodziła długo oczekiwana wiosna, choć grubość lodu na rzece wciąż wynosiła 1,5 metra. Syberyjska wiosna i lato są bardzo ciepłe, a niekiedy nawet upalne. Okres wegetacji roślin jest bardzo krótki, a więc musi być intensywny. Polany i zarośla szybko się zazieleniły, temperatura wzrastała każdego dnia, mrozy poszły w zapomnienie. Wraz z nadejściem ciepła przysłała nowa plaga, tj. komary i drobniotkie muszki. Ataki tych owadów były tak gęste i natarczywe, że nie dało się wyjść na dwór bez ochrony twarzy siatką plecioną z końskiego włosia i dodatkowego smarowania siatki „dziegciem” – rzadką smołą wytapianą z kory brzoźowej. Na rękach noszono płócienne rękawice. Ataki muszek następowały w dni pochmurne i o zmroku, komarów przez całą dobę. W pogodny dzień wybrał się do tajgi na grzyby jeden z zesłańców – Stanisław Piszczak i zapomniał siatki. Po niedługim czasie pogoda się zmieniła, niebo zasłały ciemne deszczowe chmury oraz miliardy muszek i komarów. Człowiek nie mógł się opędzić od nalotu owadów, więc uciekał co sił do obozu. Mimo wszystko muszki wygryzły mu prawe oko i prawe ucho, pozostawiając jedynie chrząstkę. Daje to obraz, jaka groźną sytuację stwarzają chmary muszek i komarów.

Z nastaniem ciepłych dni wystąpiły zachorowania na malarię. Lekarstwem była chinina, której nie brakowało, ale wycieńczone organizmy ludzkie były mało odporne. Nastąpiło znowu kilka zgonów, szczególnie wśród dzieci i osób starszych. Nędzne wyżywienie i wszy wywoływały tyfus. Lekarstw nie było żadnych, więc ludzie umierali „jak muchy”. Z około 200 przywiezionych osób, w marcu pozostało żywych około 110. Zmiana pory roku pociągnęła za

sobą zmianę w pracach leśnych. Kobiety skierowano do „kręcenia łozy”, tj. skręcania uprzednio naparzanej w „bani” wikliny. Po skręcaniu powstawały elastyczne „sznury” służące do wiązania bali drewnianych w tratwy. Długość formowanych tratw wynosiła do 120 m, a szerokość około 20 m. Na przodzie tratwy mocowano dwa potężne wiosła do utrzymania kierunku spływu. Tył tratwy był wyposażony w podobne wiosła. Na środku tratwy stawiano „chatkę” z drewna dla załogi. Na balach przybijano podłogę z dranic i wysypywano 15cm warstwę piasku. Na tak przygotowanym podłożu palono ognisko i gotowano „czaj” i posiłki. Na wszystkich rogach tratwy umocowane były cztery grube liny konopne służące do cumowania tratwy na noc (spływ odbywał się tylko w dzień). Załogę tratwy stanowiło 4 flisaków, jeden z nich był dowódcą. Bale, na których była zbudowana chatka, powiązane były konopnymi linami po to, by w razie burzy załoga mogła się ratować. Mój ojciec Franciszek Wojtyło i wujek (brat mamy) Wojciech Zielonka uczestniczyli w spławie dwa razy. Gdy tratwa na noc przybijała do brzegu, załoga łowiła ryby niedużą siatką. Ryb we wszystkich rzekach było zatrzęsienie. Powrót ze spławu odbywał się kutrami motorowymi. Można by więc wyciągnąć wniosek, że narzekanie na wyżywienie było mocno przesadzone – przynajmniej w lecie. Jest to pogląd całkowicie błędny. Polscy zesłańcy nie mogli się nawet zbliżyć do wody z wyjątkiem jej pobierania. Pewnego razu i ja próbowałem łowić ryby na wędkę podobnie jak chłopcy wcześniejszych zesłańców. Po chwili nad wodą znalazł się wartownik, połamał wędkę i wyrzucił do wody. „Nie Izia Polakam” pogroził mi i wyгнаł do baraku. Tak postępowano ze wszystkimi wędkarzami Polakami.

Od połowy czerwca do jesieni, kiedy ojciec był na spływie, matka pracowała jak inni zesłańcy przy pracach polowych w kolchozie Tanskij Most. Pieszko musieli iść pod konwojem na miejsce pracy, mieszkali w barakach wcześniej wybudowanych. Co dwa tygodnie mogli wrócić do dzieci w Borzowie. Dzieci przez ten czas pozostawały same. Same gotowały polewkę, same sprzątały, same rąbały i znosiły drewno itp. Codziennie do baraku przychodził wartownik sprawdzić, czy podłoga jest zamieciona i myta, czy prycze są pościelone itp. Przybycie rodziców z Tanskiego Mostu było dla dzieci świętem, bo przynosili nie wiadomo jak zaoszczędzone porcje chleba. Nie zawsze jednak tak było. W rodzinie Zielonków zaszło wydarzenie, które tkwi w mej pamięci do dnia dzisiejszego. Gdy przebywaliśmy sami, gotowaliśmy z chleba rodzaj barszczu. Tak samo postępowwała najstarsza wśród dzieci Zielonków 16-letnia Marysia, a młodsi bracia 14-letni Edek i 12-letni Władek czuwali przy garnku aż „zupa” się ugotuje. Zanim się ten „barszcz” zagotował czerpali drewnianymi łyżkami tak, że na koniec nic nie zostawało tego jedzenia. Marysia nie odpędzała braci od garnka, wiedziała, że są bardzo głodni, poświęcała się dla nich. Wychudła, była coraz słabsza. Wreszcie pewnego dnia, kiedy przyszli rodzice, nie wstała już z pryczy. Konała z głodu. Kiedy ojciec podał jej kromkę przyniesionego chleba, wzięła do ręki, ale jeść już nie mogła, jedynie wyszeptala: „Tatuś, nie mogę” i skonała.

Po zakończeniu prac polowych w kolchozie i prac spławiania drewna rodzice wracali do obozu macierzystego i podejmowali prace przy wyрубie drewna. W lecie można było chodzić na jagody (czarne borówki), borówki brusznice (czerwone i kwaśne) i na grzyby. W żadnym wypadku nie można było zapomnieć siatek i rękawic, o czym pisałem wcześniej. Borówki brusznice wsypywano do beczek i zamrażało. Stanowiły potem sałatkę do obiadu.

Jeszcze parę słów na temat łowienia ryb w rzece. „Tubylcy” mogli łowić dowolnym sposobem, tj. na wędkę, ościeniem, wężyczkami itp. Dużymi niewodami mogli łowić jedynie rybacy zawodowi zrzeszeni w spółdzielniach. Mieli oni kutry motorowe, niewody, łódki drewniane, sznury z haczykami itp. W czasie mego pobytu w Borzowie łowiono ryby dwa razy. Dwa kutry wyrzucały niewod, potem ściągały jego końce do brzegu. Końce sieci przymocowywano do drewnianych kołowrotów i ściągano do brzegu. Kołowroty napędzono siłą ludzkich ramion. Skrzypiały, ale ciągnęły sieć. W sieci było mnóstwo ryb różnej wielkości. Były tam sumy długości 3 metrów, bielugi o wadze 50 kg i więcej, 10 kilogramowe szczupaki, sarogi, jesiotry i inne gatunki. Ryby ładowano do ogromnych koszy wiklinowych i dostarczano na kutry. Drobnicę chwytały chłopcy i dziewczęta i uciekali do swoich baraków. Inny sposób połowu zastosowali „tubylcy”. Wieczorem już o zmroku wypłynęli na rzekę łodzią drewnianą, zabierając mnie ze sobą jako „palacza”. Sposób połowu polegał na tym, że do dziobu łodzi na wysuniętym pręcie stalowym umocowany był kosz metalowy, w którym rozpalano ognisko ze smolnych szczap. Palące się ognisko dawało tyle światła, że widać było ryby – szczupaki stojące w płytkiej wodzie łbami do brzegu. Łódź spływała z prądem sterowana przez jednego z mężczyzn, a stojący w łodzi drugi mężczyzna uderzał trójzębnym ościeniem w grzbiet ryby, ściągał z ostrza i wrzucał do łodzi. Złowił w ten sposób kilka szczupaków powyżej 5 kg. Jednego dał mi za to, że utrzymywałem dobrze ogień w koszu. Ukradkiem dostałem się do baraku. Dwa dni mieliśmy z siostrą wspaniałe jedzenie. Z opowiadań tubylców usłyszeliśmy o zdarzeniu, które miało miejsce w poprzednim roku. Starszy, doświadczony człowiek wybrał się sam na połów sumów ościeniem (było to niespotykane, gdyż zawsze jechało co najmniej dwóch rybaków). Wypłynął przed nastaniem zmroku w górę rzeki, a następnie spływał w dół. Do ościenia miał przymocowaną żyłkę konopną, nową i bardzo mocną, o długości około 15 metrów. Zazwyczaj linka leżała luźno w łodzi aż do czasu, gdy rybak namierzył i skłuł sum ościeniem. Przy dobrym nakłuciu sum nie miał praktycznie możliwości uwolnienia się od ościenia. Ciągnął więc łódkę z rybakim do momentu, gdy opadł z sił i dał się wciągnąć do łodzi. Tym razem upolowany sum był bardzo duży, nawet jak na tutejsze warunki. Mierzył bowiem około 3 metrów i ważył ponad 200 kg. Zazwyczaj łowca trzymał linkę w rękach i gdy widział, że nie da rybie rady, puszczał linkę tracąc ją wraz ze zdobyczą i ościeniem. Tym razem było inaczej. Linka zaplątała się na nogach rybaka. Mimo wysiłków nie zdołał się od niej uwolnić. Sum wyciągnął go z łodzi i ciągnął nadal, aż zmęczony zatrzymał się blisko mielizny, wyciągając na nią martwego już rybaka. Przed wyjazdem mężczyzna powiedział żonie, gdzie się udaje. Rano, gdy nie pojawił się w domu, kobieta powiadomiła komendanta obozu, prosząc o pomoc. Wysłał on czterech ludzi dwiema łodziami na poszukiwanie. W godzinach popołudniowych znaleziono martwego rybaka i uwięzianego na linie suma.

Milowymi krokami zbliżała się syberyjska zima. Oczekiwanie na nią nie budziło wielkiego strachu, gdyż zaopatrzone dorosłych w filcowe buty (walonki) oraz watawone spodnie i kufajki. Dano też po dwie pary ocieplanych rękawic. Około 15 października spadł pierwszy śnieg i już nie stopniał do wiosny. Zima była jednak mniej dotkliwa, gdyż temperatura wynosiła minus 25 do minus 35°C. Tylko kilka dni było bardziej mroźnych z temperaturą minus 40°C. Wyżywienie było praktycznie niezmiennione. Wydano jednak po 50 kg ziemia-

ków na jeden miesiąc oraz 5 kg cebuli. Urozmaiciło to znacznie żywność, co z kolei wpływało dodatnio na zdrowie ludzi. Było znacznie mniej zgonów spowodowanych głodem i chorobami. Nie można również pominąć faktu, że poprzedniej zimy i lata umarli przeważnie starcy i dzieci – osoby najslabsze, a ci, którzy przeżyli byli jakby wyselekcjonowani. W opał na zimę każdy mieszkaniec miał się zaopatrzyć sam zwożąc na sankach drewno z lasu i składając je w sztaplach przed wejściem do baraku. Zima przechodziła w miarę spokojnie, dorośli pracowali, a dzieci siedziały w barakach. Szkoły w obozie nie było. Na wiosnę potwarzał się ten sam sposób bytowania – praca w tajdze, przygotowanie drewna do spławiania itd.

22 czerwca 1941 roku o godzinie 4⁰⁰ hitlerowskie Niemcy napadły na ZSSR bez wypowiedzenia wojny. Załogę dozoruującą nasz obóz zmniejszono do 6 wartowników i 1 dowódcy. Pozostali natychmiast zostali powołani do wojska – na front. Powołano do wojska również zdolnych do służby „tubylców”. W drugiej połowie 1941 roku, z chwilą gdy generał W. Sikorski podpisał z J. Stalinem porozumienie w sprawie utworzenia w Związku Radzieckim armii polskiej pod dowództwem generała Władysława Andersa, umożliwiono Polakom wstępowanie do Wojska Polskiego. Do miejsca formowania polskich jednostek była daleka droga. Skorzystało z tej okazji niewiele osób. Z naszej wsi, z Seńkowa dostały się tam tylko trzy osoby – Karol Więckiewicz, Henryk Więckiewicz i Stanisław Saczyński. Ze zrozumiałych względów wszyscy ludzie chcieli wiedzieć, jak przedstawia się sytuacja na froncie. Jeden starsuszek w Tanskim Moście miał radio detektorowe na słuchawki i wiedział, co się dzieje. Pytany o postępy w wojnie odpowiadał: „Naszi idut w pieriod, a Niemcy za nimi”. Nie mógł przecież powiedzieć, że wojska rosyjskie panicznie uciekały, tracąc w walkach setki tysięcy rannych, zabitych i wziętych do niewoli. Odpryski wojny dotarły i do naszego obozu. Z wojny wróciło dwóch rannych tubylców i nie wiadomo jakim sposobem przeszmyglowali oni dwa granaty przeciwczołgowe. Postanowili za ich pomocą ogłuszyć ryby w rzece. Wybrali się więc z kilkoma kolegami w górę rzeki, około 2 km od obozu. Tutaj do rzeki Any wpadała wąska – około 10 m szerokości, lecz głęboka na 4m rzeczka o nazwie Moskowka. W miejscu, gdzie wpadała do głównej rzeki, wrzucili związane ze sobą granaty. Po kilku sekundach rozległ się straszliwy wybuch. Słysząc go było nawet w obozie, więc dzieci i parę osób dorosłych oraz trzech strażników pobiegło wzdłuż brzegu do miejsca wybuchu. Blisko brzegu płynęły setki ogłuszonych ryb. Sprawcy wybuchu, strażnicy, dorośli i dzieci, każdy według swoich możliwości, rzucili się do wyławiania ryb. Były tam szczupaki, jesiotry, białugi, itp. o wadze kilku kilogramów każda oraz niezliczona ilość „drobnicy” o ciężarze do 2 kg. Te małe ryby wyławiały dzieci, gromadząc na brzegu znaczne ich ilości. Ogłuszone ryby płynęły z prądem aż do obozu. Większe sztuki dochodziły do siebie i uciekały, małe można było łowić i w obozie. Całe zdarzenie utrzymano w ścisłej tajemnicy, gdyż sprawcom wybuchu groziła kara więzienia. Tak duże rezultaty wybuchu świadczyły o tym, jakie zasoby posiadała rzeka.

W początkach grudnia 1941 roku dotarła do obozu informacja, że Polacy przywiezieni do łagru mogą opuścić obóz i zamieszkać w kolchozach położonych nie dalej jak 100 km od miejsca dotychczasowego pobytu. Przenieść się można było tylko własnym staraniem i na własne ryzyko. Osoby mające rodziny udawały się do kolchozów z prośbą o przyjęcie do pracy i zapewnienie zakwaterowania. Mój ojciec w połowie grudnia udał się pieszo, samotnie w po-

szukiwaniu takiego miejsca. Otrzymał na drogę cztery bochenki chleba i nic więcej. Po kilku dniach dotarł do wsi Turowo położonej 30 km od Abanu. Był tu duży kołchoz, a wieś zaliczana była do tych, gdzie znajdowały się siedziba gminy, komisariat NKWD i duża siedmioklasowa szkoła. Przewodniczący kołchozu Pietro Burin oraz sekretarz partii Wasilij Wołkow wyrazili zgodę na przyjęcie do kołchozu naszej rodziny, głównie dlatego, że ojciec przed wojną nauczył się rymarstwa, tj. szycia uprzęży dla koni, od swego brata Alojzego. Kołchoz miał około 80 sztuk koni. Dla przywiezienia rodziny z Borzowa do Turowa dano do dyspozycji ojca zaprzęg, tj. konia i sanie. Konia przydzielono jednego z najlepszych. Było to zwierzę stosunkowo młode, duże i mniej wychudzone od większości koni kołchozowych. Ojcu dano zaliczkowo 5 bochenków chleba, odpowiednią ilość siana i słomy do wyścielenia sań. W dniu wyjazdu z Turowa pogoda była znakomita, świeciło słońce, temperatura w dzień wynosiła minus 12°C. W ciągu dwóch dni dotarł do Borzowa. Załatwił w kierownictwie obozu formalności związane z wyjazdem. Następnego dnia załadowaliśmy do sań tobołki z pościelą i garnkami, rakiety śnieżne i ruszyliśmy do nowego miejsca pobytu. Niebo było pogodne, temperatura minus 13°C. Podróż przebiegała pomyślnie, droga nie była zawiana. Jednak pod wieczór warunki pogodowe uległy całkowitej zmianie. Zerwał się wiatr, początkowo słaby, lecz jego siła wzrastała w szybkim tempie. Zaczęło kurzyć śniegiem, na drodze tworzyły się zaspasy, przede wszystkim tam, gdzie droga wiodła wśród leśnych polan. Zapadał wczesny zmierzch, robiło się ciemno, koń uparcie parł do przodu, bo był tak nauczony. Jednak po pewnym czasie okazało się, że zasób jego sił się wyczerpuje. Rodzice szli tuż przy saniach, ja i siostra zawinięci w pierzyny jechaliśmy. Wiatr dał coraz silniej, porwany śnieg wznosił się w powietrzu, ciął po twarzy, jakby tysiące igieł wbijało się w skórę. Ciemność nastąpiła zupełna. Koń słabł coraz bardziej, zaczął przystawać, był cały spocony, para buchała z niego, zdawało się, że niedługo padnie i już nie wstanie. W pewnym momencie po wjechaniu na polanę stanął i dyszał ciężko.

Po dłuższym postoju ojciec prosił go, by ruszył dalej, lecz koń stanowczo odmawiał, szarpał się, charczał, lecz dalej iść nie chciał. Okazało się, że koń zboczył z drogi i jesteśmy w otwartym polu. Ojciec rzucił koniowi trochę siana, okrył go kocem i zaczął się naradzać z mamą, co robić dalej. Nocowanie skończyłoby się zamarznięciem lub pożarciem przez wilki. Po chwili rodzice postanowili, że ojciec pójdzie szukać pomocy, a matka z nami pozostanie przy zaprzęgu. Było to jedyne rozsądne wyjście, choć szanse jego powodzenia wynosiły w najlepszym przypadku jak 1:10. Ojciec owinał rękami głowę i twarz, założył rakiety śnieżne na nogi, krzyknął coś na pożegnanie i zniknął w ciemnościach. Minęło około 1,5 godziny gdy w ciemności rozległy się przytłumione wołania i krzyki. Matka i my zaczęliśmy z całej siły wołać pomocy. Po kilkunastu chwilach koło sań stanęło trzech mężczyzn – ojciec i dwaj tubylcy – kołchozowi myśliwi, mieszkający na stałe w chacie na skraju polany. Koń nieco odpoczął, przegryzł i doszedł widać do wniosku, że przy pomocy ludzi potrafi dociągnąć sanie do osady. Myśliwi przymocowali sznurami przyniesione drągi, umożliwiające pchanie sań, jeden krzyknął na konia, który bez zwłoki pociągnął sanie. Przebijaliśmy się przez zwały śniegu, stawali, aby odpocząć i po dwóch godzinach dobiliśmy do osady. Po przybyciu na podwórze natychmiast przeniesiono mnie i siostrę do mieszkania. Byliśmy tak zziębnięci, że o wła-

snych siłach nie mogliśmy się poruszać. W mieszkaniu obok nas – przybyszów – znalazło się natychmiast kilka osób – mieszkańców drugiej części domu. Była szczęśliwa dla nas pora kolacji. Poczęstowano nas mięsem z dziczyzny, ziemniakami w łupinach i nieodłącznym „czajem”. Syci i ogrzani natychmiast zasnęliśmy. Przy budynku – obu jego częściach – wybudowane były dwie stajnie dla krów i świń. Do jednej, tej większej, bo mogły się tam zmieścić nawet dwie krowy, z których jedną sprzedano na rzeź po wezwaniu władzy radzieckiej – „wsio dla fronta” – wprowadzono naszego konia, gdzie mógł się ogrzać i najeść do woli koniczyny. Jak ojciec znalazł naszych wybawców w ciemną, wietrzną noc? W domu, w którym mieszkali myśliwi, w kominku paliło się rześiste ognisko, a światło z niego przenikało przez dwa nieduże okna...

Do świtu burza śnieżna ustała, nadszedł ranek pogodny i jasny, temperatura wzrosła do minus 12°C. Po śniadaniu niespotykanym dotychczas, bo składającym się z chleba, smalcu i gorącego mleka, byliśmy gotowi do dalszej drogi. Myśliwi wyprowadzili nas do zawianej drogi, ale mieliśmy jeszcze do pokonania 25 km. Wczesnym zmerzem dotarliśmy do Turowa. W Gminnej radzie dano nam skierowanie do jednego z „tubylców” – wcześniejszego zesłańca, Ukraińca Artymona Mielnikowa, który na przysiółku Turowa mieszkał wraz z synem Mikołajem w dwuizbowym domu. W jednej izbie był zbudowany z cegły glinianej piec piekarski do pieczenia chleba, a jednocześnie do gotowania posiłków. Służyły do tego żeliwne garnki, które wstawiano do pieca przy użyciu specjalnych wideł. Na piecu można było spać – mieściły się tam swobodnie dwie dorosłe osoby. Leżało na nim dużo słomy nakrytej płachtą, było ciepło i miękko. Po kolacji poszliśmy z siostrą spać na piecu za zgodą dziadka Artymona, który z pieca przeniósł się na prycze. Mikołaj, matka i ojciec mieli też prycze z siennikami. Drewniana ścianka oddzielająca pomieszczenie z piecem od drugiej izby nie sięgała do sufitu, a więc ciepło z pieca ogrzewało oba pomieszczenia. Do tego samego komina dobudowany był niewielki kominek, na którym paliło się ognisko oświetlające pomieszczenie. Takie kominki miał każdy dom mieszkalny i biurowy. W porównaniu z barakami w obozie warunki zamieszkania były doskonale, tym bardziej, że nie było tu pcheł i pluskiew. Drugi dzień w Turowie był przeznaczony na urządzenie się i załatwienie formalności związanych z pobytem. Dowiedzieliśmy się, że w kolchozie już przebywają rodziny Fijałkowskich: Stanisław, jego żona Zofia, synowie Franciszek, Jan i Benon „Bimko” oraz córka Helena; rodzina Skotnickich z Seńkowa: Ignacy, żona Zofia, córki Wiktoria i Władysława i syn Zygmunt; rodzina Szymańskich: Wojciech, żona Agnieszka, syn Kazimierz i córka Olga.

W trzecim dniu rodzice poszli do pracy. Matkę skierowano do czyszczenia zboża przy użyciu młynka na korbę. Zboże natychmiast wywożono saniami do Kanska „dla fronta”. Furmani powożący saniami oprócz ubrań watowanych i walonek mieli szuby (kożuchy) z dwóch warstw psich skór, szyte jedną warstwą włosem na zewnątrz, drugą włosem do środka. Szuby były dłuższe od wzrostu noszącego, co przy siedzeniu na saniach skutecznie chroniło nogi przed mrozem. Ojciec zajął się naprawą uprzęży dla koni w budynku „Koniuszni” – obiekcie przeznaczonym do przetrzymywania koni. Na tym terenie oprócz budynków gospodarczych były zbudowane nowe stajnie dla koni.

Stajnie z nieznanych względów stały puste, a konie przebywały na ogrodzonym placu. W stajni trzymano tylko parę zarodową „orłowskiej porody”.

Klacz i ogiera karmiono czystym owsem i dobrym sianem, wyglądały więc jak rasowe konie wyścigowe. Były to konie karej maści, sierść na nich aż lśniła. Pozostałym koniom dawano tylko siano, były chude i smutne. Młodych źrebiąt (do 2 lat) nie zaprzęgano, więc były w dużo lepszym stanie. Pod budynkiem były piwnice dla przechowywania ziemniaków sadzeniaków oraz ziemniaków do spożycia. Przebywanie w „Koniuszni” umożliwiło zabranie paru ziemniaków do kieszeni i przyniesienie do domu na obiad. W marcu 1942 roku zapas ziemniaków wyczerpał się i spowodował w naszej rodzinie prawie głód, gdyż przydział na chleb wynosił tak jak w Borzowie 0,5 kg na osobę dorosłą i 0,3 kg na dziecko.

W niedalekiej odległości 10 km, był kołchoz Słapce, w którym osiedlił się nasz sąsiad z Seńkowa Jan Kudła „młodszy” wraz z żoną Emilią oraz synami Antonim i Marianem (Jan Kudła „starszy” i jego żona Anna zmarli w Borzowie). Pewnego dnia otrzymaliśmy wiadomość od Kudłów, że dostali z kołchozu 3 worki ziemniaków i chcą nam jeden worek podarować, pod warunkiem, że sami go odbierzemy. Mama uzyskała z Rady Gminy zezwolenie na udanie się do Słapiec. Dzień wypadł ciepły minus 7°C i pogodny. Pożyczyliśmy sanki z metalowym koszem do palenia ognia w razie ataku wilków. Oprócz smolnego i suchego drewna zabraliśmy ze sobą dwa worki oraz dwa koce dla zabezpieczenia ziemniaków przed mrozem. Rano wybraliśmy się z matką w tę trudną podróż. Do Słapiec doszliśmy w godzinach popołudniowych, gdyż droga była częściowo zawiana. Po krótkim odpoczynku, wypiciu „czaju” wsypaliśmy ziemniaki do podwójnego worka, owinęli w koce i ułożyli na ściółce ze słomy. Ruszyliśmy w drogę powrotną z trwożą w sercu, że złapie nas noc. O zmroku mieliśmy do pokonania jeszcze około 3 km. Już wydawało się, że dotrzemy bez przygód do domu, gdy w ciemności matka zauważyła świecące ogniki. Były to watahy wilków. Natychmiast rozpaliliśmy ognisko w metalowym koszu. Stado jednak podążało za nami, zbliżając się do nas coraz bardziej. Myśmy z całych sił biegli, a wilki biegły za nami. Gdy zbliżały się na niebezpieczną odległość, rzucałem w nie płonące szczapy. Na chwilę się zatrzymywały, lecz znowu się przybliżały. W ten sposób dotarliśmy do miejsca, z którego było widać światła naszej wsi. W tym momencie wilki zrezygnowały z ataku na nas i już spokojnie dotarliśmy na miejsce.

Nadchodziła wiosna, śnieg topniał gwałtownie, spod śniegu wyrastały kępy traw i syberyjskich kwiatów, drzewa pokrywały pierwsze liście. W kołchozie rozpoczęły się przygotowania do siewów. Naprawiano pługi, brony, wozy. Na częściach pól zaoranych na zimę przystąpiono do siewu zbóż jarych, tj. pszenicy, owsa i jęczmienia. Z Polaków ojciec i Szymański jako byli rolnicy zostali skierowani do tych prac. Pewnego dnia, gdy mieli już iść do domu, zostawili w workach, ojciec około 1,5 kg, a Szymański około 4 kg pszenicy. Z tym zbożem przyszedli do domów. Matka natychmiast wsypała zboże do garnka i wstawiła do pieca, by ugotować. Kilkanaście minut później przed dom zajechała bryczka sekretarza partii i naczelnika NKWD. Rozpoczęła się szczegółowa rewizja. Znalezione oczywiście pszenicę w piecu. Ojca zabrano do siedziby kołchozu, gdzie był już doprowadzony Szymański. Przesłuchiwano ich kilka godzin. Na drugi dzień zebrał się „sąd” i orzekł, że za kradzież mienia państwowego ojca skazuje się na naganę z ostrzeżeniem, a Szymańskiego na rok więzienia. Po trzech miesiącach przyszło zawiadomienie, że Szymański zmarł na wrzody żołądka w kopalni soli na Sachalinie.

Ojciec mój był człowiekiem światłym i czytającym. Przed wojną był działaczem ludowym. Uczestniczył w zjeździe ludowców raz w Warszawie,

dwa razy we Lwowie. Dlatego też doceniał posiadanie wykształcenia. Niezwłocznie po przybyciu do Turowa zapisał mnie do pierwszej klasy rosyjskiej szkoły podstawowej wiedząc, że każde wykształcenie jest korzystne dla człowieka. Od stycznia 1942 roku uczęszczałem do szkoły i uzyskałem promocję do drugiej klasy, mimo że rozpocząłem naukę cztery miesiące później niż inni uczniowie. Kierownikiem szkoły była Elizawieta Biriukowa, żona sławnego bajanisty⁴ Zespołu Pieśni i Tańca Aleksandrowa imienia Armii Czerwonej. Przed wojną Biriukowie mieszkali w Leningradzie. W połowie roku 1942 Aleksander Biriukow był ranny na froncie, nadepnął na minę i urwało mu prawą nogę w kostce. Po zaleczeniu rany został zwolniony z wojska i przybył do żony w Turowie. Uczył w szkole muzyki i śpiewu. Był jedynym artystą w okolicy, brał udział w różnych występach w całej gminie. Cechowała go prostota, miłość do ludzi, a szczególnie do dzieci. Poproszony żeby zagrał na bajanie, nikomu nie odmówił. Grał wszędzie, w szkole, na placu itp., choć był wielkim artystą występującym w zespole Aleksandrowa jeszcze długo po wojnie.

Cały czas mieszkaliśmy u Mielnikowa. Stary Artymon ze względu na wiek nie pracował w kolchozie. Mikołaj – „Kola” musiał pracować, mimo że jeszcze nie ukończył 18 lat. „Dziadzia” Artymon, człowiek bywały w świecie, mimo podeszłego wieku był wesoły i rozmowny. Urodził się i wychował nad Donem w kozackiej stancy. Za zatargi kozaków z władzą radziecką został skazany na zesłanie na Sybir na czas nieokreślony. Opowiadał nam o życiu w stancy, o tym, jak służył w wojsku kozackim. Nauczył mnie śpiewać dumki kozackie. Jedną z nich cytuję:

Hej tam na polu zińcy żnut
 Hej tam na polu zińcy żnut
 A popid horoju, popid zelenoju kozaki idut
Hej, a w peredi czereszeńko
 Hej, a w peredi czereszeńko
 Wide swoje wijsko, wijsko zaporiza choroszeńko
Hej, a za nymi sachajdacznij
 Hej, a za nymi sachajdacznij
 Wide swoje wijsko, wijsko zaporiza neobacznyj
 Hej, hej, hej, kozaki idut

Żona Artymona umarła dawno, zaraz po zesłaniu. Kolę wychowywał sam ojciec. Wpoił mu przekonanie, że Bóg istnieje i kieruje ludzkimi losami. Artymon, mimo że nie chorował, nagle zmarł w maju 1942 roku. Zwłoki do chwili pochówku spoczywały w trumnie na ławie w jego domu. Wieczorem nad trumną modliło się parę kobiet „tubylców”, przeważnie osoby w podeszłym wieku, które jeszcze pamiętały z dzieciństwa modlitwy. Zgromadzili się też Polacy mieszkający w Turowie. Rozległy się polskie pieśni żałobne, odmawiano modlitwy za zmarłych. Pamiętam taki moment, gdy Kola stojąc obok trumny mówił: „Molię Polaki za mojego otca. Ja sowiecki człowiek, nie umiemu molit-sia, no wieriu, czto waszi mołytwy dojdut do Boga”. Mniej więcej za miesiąc od pogrzebu ojca Kola ukończył osiemnaście lat i dostał powołanie do wojska. Jechał w nieznaną, nigdy jeszcze nie jechał pociągiem, ani nie widział lokomotywy. Pożegnał się z nami jak z rodziną, odwiedził sąsiadów; udał się na front i

⁴ Bajan – ros., muz. udoskonalona harmonia ręczna (odmiana akordeonu) z klawiaturami guzikowymi dla obu rąk.

ślad po nim zaginął. Dla nas wyjazd Koli na wojnę też miał przykre następstwa. Kazano nam opuścić dom. Przesiedlono nas do domu Nataszy (nazwiska nie pamiętam). Dom był duży, piętrowy, co w tych okolicach było bardzo rzadkie. Mieszkały w nim oprócz gospodyni dwie nauczycielki z tutejszej szkoły. Nam przydzielono pokój na parterze z piecem piekarskim i kominkiem. Pomieszczenie na górze, gdzie mieszkała gospodyni, ogrzewał piecyk żeliwny. Z wyżywieniem było coraz gorzej, chleb wydawano w ilości jak wcześniej, ziemniaków Polacy już nie dostawali, bo wszystkie zostały użyte do sadzenia. Marzeniem nas wszystkich było, by kiedyś najeść się chleba do syta. Były to jednak tylko marzenia... Za poradą „tubylców” zaczęliśmy jeść to, co można było znaleźć w lesie. Na polanach rosły rośliny, które nazywano „saranki”. Miały one stosunkowo wysoką łodygę (około 50 cm), a w ziemi wyrastała bulwa wielkości dużej główki czosnku. Ta bulwa składająca się z ząbków tak jak czosnek, była jadalna. Po ugotowaniu smak był podobny do ziemniaków, lecz nieco słodkawy. Zbierano również szypułki czerwonej koniczyny, suszono, tłuczono w stępie⁵ na mąkę, dodawano soli i mieszano z ugotowanymi sarankami. Otrzymaną gęstą masę formowano w placki, takie jak ziemniaczane, i pieczono na patelni w piecu piekarskim. Bardzo „dobrym” dodatkiem były łupiny ziemniaczane. Placki te smakowały nie bardzo, lecz niestety innej możliwości nie było. „Dobra psu mucha jak nie ma chleba okrucza”.

Kołchozowe konie dostawały w lecie tylko trawę. Koszono ją na polanach leśnych i dowożono na „Koniusznię”. Wykonywały to przeważnie kobiety, bo mężczyzn coraz więcej było na wojnie. Młode konie, jeszcze nie zaprzęgane, wypasano na polanach leśnych lub bezpośrednio w tajdze, głównie w nocy. Do pasienia typowano przede wszystkim starców i wyrostków. Konie pędzono w stadzie, potem je pętano powrozami konopnymi. Niektóre konie miały na szyi zawieszane dzwonki „botała”. Pastuchów było zwykle kilku, w tym paru ochotników – powyżej 9 lat. Aby uchronić się od komarów, rozpalano nietypowe ogniska. Bale drewna układano w krąg, pastuchowie sadowali się w środku, a dym ochraniał ich lepiej niż gdyby siedzieli na zewnątrz kręgu. W takich wyprawach za zgodą ojca w pogodne noce brałem udział i ja. Spętane konie nie oddalały się zbyt daleko od ogniska. Pewnego razu jeden młody ogier zaplątał się pętem w korzeń ściętego drzewa i upadł tak niefortunnie, że złamał przednią nogę. Wczesnym rankiem, gdy szykowaliśmy się do pędzenia koni z powrotem do wsi, stwierdziliśmy, że koń ma złamaną nogę. Jeden ze starszych pastuchów osiodłał ujeżdżonego konia i galopem popędził do kołchozu odległego około 2,5 km. Po godzinie wrócił z Burinem – przewodniczącym kołchozu i stajennym brygadzystą. Po obejrzeniu konia stwierdzili, że noga jest złamana w dwóch miejscach. Decyzja była krótka – konia trzeba dobić. Nie namyślając się Burin wyjął z pochwy rewolwer typu „colt” i wystrzelił dwa razy. Koń się rzucał, ale natychmiast skonał. Przewodniczący wyjął długi składany nóż, wyciął szynkę, mięso schował do parcianej torby i odjechał. Wcześniej polecił starszemu pastuchowi, by wraz z jednym z ochotników pilnowali mięsa do czasu przybycia z kołchozu ludzi wyznaczonych do zabrania konia.

⁵ Stępa – prymitywne urządzenie służące dawniej do obłuskiwania i kruszenia ziarna na kaszę, składające się z drewnianej lub kamiennej misy oraz drewnianego ubijaka.

W warunkach wojny zapotrzebowanie na różne surowce było ogromne. Zalecono, by kto może (starcy, dzieci) zbierał to, co do zbierania się nadawało, między innymi korę z młodych wierzb, kminek, skórki z drobnych zwierząt futerkowych żyjących dziko w lesie. Dotyczyło to w szczególności burunduków⁶ – zwierzątek o wielkości świnki morskiej. Były to gryzonie o popielatym ubarwieniu. Na grzbiecie każdego (samca i samiczki) przebiegało podłużnie pięć czarnych pasków. Futerka tych zwierząt były sprzedawane do Ameryki i innych krajów. Były bardzo drogie i futro z tych skórek stanowiło majątek. Gryzonie te nie liniały na wiosnę, można więc było na nie „polować” przez cały rok. Zajmowały się tym przeważnie dzieci. Kilkoro z kijami w ręku obstawiało leżące w lesie drzewo, jedno czekało, aż po pniu zaczną biegać burunduki. A zaczynały biegać, gdy ktoś zaczynał świstać tak jak czynią to zwierzęta, szczególnie w okresie rui. Myśliwi z kijami rzucali się do ataku i jak dobrze szło, kilka sztuk zostawało zabitych. Działanie to powtarzano wielokrotnie. W ciągu dnia zdarzało się zdobyć kilkanaście i więcej sztuk. Ściąganie skórek mogło być wykonywane tylko przez specjalistów. Natomiast pozyskiwanie kory z młodych wierzb wynikało stąd, że kora niezbędna była przy wyprawianiu wszelkiego rodzaju skór zwierzęcych. Korę ściągano się z drzew rosnących czyli żywych. Drzewo po takiej operacji usychało, lecz cel uświęca środki... Dzieci zbierały także kminek. Duża ilość tych roślin rosła przy polnych drogach. Za wszystkie tego rodzaju zdobycze w punkcie skupu można było otrzymać pieniądze, proch strzelniczy lub garnki żeliwne do gotowania czy kamienne na wodę lub mleko.

W połowie czerwca rozpoczęła się bardzo ważna akcja – sianokosy. Wyżywienie koni wymagało zgromadzenia na zimę ogromnej ilości siana. Koszono je na leśnych polanach, na których nie uprawiano zbóż. Siano kosili wszyscy, którzy umieli kosić kosą – mężczyźni, kobiety i dorastająca młodzież. Skoszono trawy należało przewracać, aby szybko schły i układać w stogi na polanie. Najpierw siano grabiono grabiami, układano w kopki, aby je dokładnie wysuszyć. Później gromadzono w stogach. Do stogów siano dowożono za pomocą „wołokuszy”. Wołokusza jak z samej nazwy wynika jest to coś, co włóczy się po ziemi. Są to dwa drzewka brzozy o średnicy w dłuższym końcu 10 do 12 centymetrów. Układa się je równolegle do siebie w odstępach 1,3 m. Do tych brzózek przywiązuje się w odległości 2,8 do 3 m poprzeczkę grubości około 10 cm. Do tej poprzeczki mocuje się cieńsze i krótsze brzócki. Konia (albo woła) zaprzęga się między dwa dyszle utworzone przez grubsze brzozy. Takim zaprzęgiem kierował „jeździec” (posadzony na koniu 10-letni chłopiec). Podjeżdżał on pod kopkę siana, pracownicy przewracali kopkę na ciągnące się gałęzie brzozy, przywiązywali siano sznurem i można było wlec kopkę pod stóg. Przy stogu odwiązywano sznur, siano przytrzymywano widłami, koń ruszał i siano pozostawało przy stogu. Robotnicy widłami podawali na stóg przywleczone siano. Do budowy stogu potrzeba było od 50 do 80 transportów wołokuszy. Zgromadzone

⁶ Burunduk (*Eutamias sibiricus*) – ssak z rodziny wiewiórkowatych zamieszkujący lasy północno-wschodniej Europy, wschodniej Azji, Syberii, Mongolii, północnych Chin i Japonii. Długość ciała do 27 cm, ogona do 18 cm. Ubarwienie brunatnoszare, na grzbiecie i bokach podłużne, ciemne pasy z jasnymi obwódkami. Ogon długi, puszysty. Dobrze wspina się na drzewa, jednak przebywa głównie na ziemi, gniazdo buduje w wykopanej przez siebie norze i gromadzi w nim znaczne zapasy pokarmu na okres zimy. Bywa przedmiotem polowań dla pozyskania futra

w stogach siano dowożono do obór i koniuszni – w zimie robiono to saniami. Taki sposób magazynowania siana był dobry, gdy kołchoz posiadał dwa spychacze o mocy 100 koni mechanicznych „Staliniec”. Te spychacze torowały w śniegu drogę do stogów. Konne zaprzęgi mogły wtedy swobodnie dojechać po siano. Tragedia kołchozu polegała na tym, że gdy trwała wojna, części zamiennych do spychaczy nie można było otrzymać. Siano w stogach leżało, spychacze stały, a gruba warstwa śniegu 1,5-2 m nie pozwalała dojechać do stogów. Próbowano przebić się do stogów końmi zarodowymi. Do sań zaprzęgnięto klacz i ogiera i pojechano do stogów. Do kilku udało się dojechać, lecz tam, gdzie śnieg zalegał w zaspach, nie było mowy o przebiciu się. W połowie zimy siana zabrakło. Połowa koni z 80 sztuk padła i została zjedzona przez kołchozników. Inaczej wyglądała sprawa wyżywienia krów, które należały do osób prywatnych. Każdy z posiadaczy kosił siano na małych polankach, układał w kopki, a wieczorami nosił do magazynku przydomowego. Paszy więc wystarczało na całą zimę. W połowie lata dojrzewały już w tajdze orzechy cedrowe.⁷ Wspólnie z innymi chłopcami wybieraliśmy się kilkakrotnie po orzechy. Cedry rosły na terenach podmokłych i mocno porośniętych mchami. Jak się po mchach chodziło, to nogi grzęzły do połowy łydki. Orzech cedrowy to szyszka o wielkości dwóch pięści. Łuski szyszki są bardzo duże. Pod każdą łuską znajduje się orzeszek wielkości małego orzeszka laskowego. Całość obłana jest żywicą, tak że wyjęcie orzeszków jest bardzo trudne. Łuski otwierają się jednak, gdy włożymy szyszki do ogniska lub przechowujemy szyszkę w ciepłe aż do zimy. Szyszki cedrowe rosną na drzewie tylko na samym czubku i na gałęziach ostatniego piętra gałęzi. Na jednej końcówce gałęzi wyrasta 3-5 szyszek. Przy zrywaniu szyszek łamało się gałęzie i zrzucało na dół. Jest to niszczycielski sposób pozyskiwania szyszek, bo w następnych latach na tych drzewach szyszki nie urosną.

Wojna toczyła się nadal, z frontu przychodziły coraz częściej powiadomienia o śmierci powołanych do wojska. Co kilka dni na wsi rozlegały się szloch i narzekania żon, dzieci, sąsiadów poległych na froncie. Wracali także z wojny ranni i kalecy. Wujek Nataszy – naszej gospodyni też wrócił okaleczony. Prawą rękę miał przestrzeloną w nadgarstku, krzywo zrośniętą i nie mógł się nią swobodnie posługiwać. Przed wojną był, jak większość tubylców, wytrawnym myśliwym. Miał sztucer na kule, który podczas jego nieobecności wisiał na kilimku przybitym nad jego łóżkiem. Po powrocie z wojny „dziadzia Wania” pieścił swoją ukochaną strzelbę i dążył z całych sił, by mimo kalectwa móc jej używać.

Nadeszła wreszcie pora żniw. Posiane w jesieni żyto, pszenica, owies i jęczmień dojrzewały w oczach. Zboża, z uwagi na lichą uprawę ziemi i brak nawozów, urosły mizernie. Przed wojną koszenie zbóż odbywało się przy użyciu prymitywnych kombajnów i kos. Teraz w kołchozie na 10 kombajnów udało się uruchomić tylko jeden. Do pozostałych brak było części. Ten jeden kombajn kosił powoli i często się psuł. Zaszła więc konieczność powrotu do starych narzędzi żniwnych – kos, a przede wszystkim sierpów. Praca żniwiarzy była bar-

⁷ Limba syberyjska, sosna syberyjska (*Pinus cembra subsp. sibirica*, *Pinus sibirica*) – blisko spokrewniona z naszą limbą, sosna występująca na ogromnych połaciach tajgi syberyjskiej. Nazywana niekiedy błędnie cedrem syberyjskim, co wynika z bezpośredniego tłumaczenia nazwy rosyjskiej. Drewno miękkie, cenione w stolarstwie i budownictwie. Nasiona, tzw. orzeszki cedrowe, są masowo zbierane i spożywane na Syberii, produkuje się z nich również olej

dzo ciężka, wykonywały ją kobiety i dorastająca młodzież. Należało się bardzo spieszyć, gdyż jesień zbliżała się milowymi krokami, był to przecież Sybir. Młócenie zboża wykonywano maszynami do młocki napędzanymi lokomotywami. Zboże gromadzono w magazynach („ambarach”), by w zimie, gdy bagna zamarznięte, dostarczyć je saniami do Abanu. Zabieranie zboża w kieszeniach do domu było kategorycznie zakazane, a kary za taką kradzież były bardzo surowe. Przekonał się o tym mój ojciec i Szymański w czasie siewów. Inaczej postępowano przy gromadzeniu na zimę siana i słomy. Zwożono je wozami przy pierwszych przymrozkach w pobliże kołchozu i gromadzono w stogach. Była więc szansa, że przetrwają do wiosny. Tam, gdzie zboża koszone kombajnem, na nawrotach powstawały nieskoszone kępy. Wraz z matką chodziliśmy wieczorami na pole, zbieraliśmy kłosa, „wycierali” zboże (żyto i pszenicę), przynosiliśmy do domu i chowaliśmy naiwnie w pierzynie między wsepem a poszwą. Zgromadziliśmy w ten sposób około 15 kg ziarna licząc, że w zimie uda się je rozdrobnić w stepie na kasze. Stało się jednak inaczej, bo ktoś powiadomił władzę o tym, że zbieramy kłosa. Pewnego dnia już po zmierzchu zajęła pod nasz dom bryczka z przewodniczącym kołchozu Burinem, szefem NKWD i dwoma milicjantami. Rozpoczęła się rewizja. Bardzo szybko sięgnięto po pierzynę, rozpruto poszwę nożem i wysypano zboże na podłogę. Milicjanci zebrali zboże, rewizję zakończono. Na rodziców padł blady strach. Liczyli się z możliwością „dalszego” zesłania. Jednak Bóg czuwa nad biedakami. Matkę wezwano na posterunek i udzielono nagany z ostrzeżeniem, podobnie jak wcześniej ojcu. Okazuje się, że oprawcy też czasem myślą, gdyż wzięli pod uwagę fakt, że zebrane zboże i tak by uległo zniszczeniu. Udzielona kara miała jednak odstraszyć innych. Po żniwach przysłała pora na wykopki ziemniaków, zbiór kapusty, marchwi i cebuli. Nikt nie odważył się cokolwiek zabierać do domu. Tym, co nie mieli działek przyzagrodowych, przydzielono część zbiorów, przeznaczając je na przetrwanie zimy. Tubylcy mieli pobudowane przy każdej zagrodzie małe chlewiki, gdzie trzymali krowy, świny i kury, oraz niewielkie stodołki na słomę, siano i drewno opałowe. Mieli też przydzielone działki przyzagrodowe (30 arów), na których uprawiali ziemniaki i warzywa. Zboża na tych działkach siać nie było wolno pod karą więzienia. Ziemniaki, jarzyny i kiszoną kapustę przechowywano w piwnicach usytuowanych pod domami mieszkalnymi. Wejście do piwnicy było od środka budynku.

Gdzieś pod koniec roku spotkała nas bardzo miła niespodzianka, podobnie jak inne polskie rodziny zamieszkałe w Turowie. Amerykańskie towarzystwo pomocy UNRA przysłało dla każdej rodziny po dwie paczki. Jedna paczka zawierała części garderoby, jak marynarki, spodnie, płaszcze i bieliznę. Druga paczka była żywnościowa. Była w niej pytlowana (biała) mąka, konserwy z zagęszczonym słodkim mlekiem, rybami (tuńczykami), naturalną kawą z mlekiem. Były też pierniki, ciastka suche i kielbasa salami. Fakt nadejścia paczek rozszedł się lotem błyskawicy. Przychodzili do nas mieszkańcy całej wsi, by zobaczyć, jak wyglądają ubrania robione w fabrykach, ale najbardziej interesował ich smak i wygląd przysłanych darów żywnościowych. Nie można było nikomu odmówić i niewiele nam z tych darów zostało.

W połowie września 1942 roku zaszedł w Turowie nadzwyczajny wypadek, który na długo utkwił w pamięci mieszkańców. Nikt się nie spodziewał, że do tajgi syberyjskiej przedostaną się zbiegowie z frontu. Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, lecz jak się okazało, było prawdziwe. Pewnego dnia dwaj

oficerowie NKWD przyprowadzili na nocleg do naszego domu rannego w nogę zbiega, czyli dezertera. Był to człowiek w średnim wieku, wysoki, dobrze zbudowany. Czarne włosy miał przyprószone siwizną. W momencie pojmania, zraniono go w nogę. Rana nie była groźna, lecz zbieg wyraźnie kulał na lewą nogę. Oficerowie, którzy go konwojowali, obchodzili się z nim w sposób należyty, a nawet przyjazny. Niedługo przed zmrokiem zbieg poprosił konwojentów, by umożliwili mu wyjście „za potrzebą”. Jeden z oficerów wyprowadził go za stajnię, gdyż ubikacji w podwórzu nie było. Cofnął się na szczyt stajni i czekał. W pewnym momencie uznał, że potrzebny czas minął i poszedł za stajenkę. Zbiega nie było. Natychmiast wezwał swojego kolegę, starszego stopniem oficera. Uzgodnili, że jeden ruszy niezwłocznie w pościg, a drugi powiadomił miejscowy posterunek NKWD i naczelnika kołchozu dla zorganizowania obławy. Dezertter uciekł do tajgi, leżącej tuż za ogrodami. Obława składająca się z oficerów NKWDzistów, kobiet, mężczyzn i dzieci ruszyła natychmiast do lasu. Szanse zbiega były minimalne, las przeczesywało kilkadziesiąt osób, a do nocy było jeszcze co najmniej 1,5 godziny. W pewnym momencie ktoś zauważył leżącego człowieka, który rwał trawę i mech i nakrywał się nimi. Złapali uciekiniera, skuli go w kajdanki i prowadzili do wsi, przeklinając bez przerwy. Kopalni go i bili kolbami karabinów. Kobiety zaczęły protestować na takie zachowanie, krzyčeć i wygrażać konwojentom. Przestali go bić, przyprowadzili do domu i położyli na pryczy. Musiał tam leżeć do rana. Z nastaniem dnia przyjechała pod dom furmanka, zabrano jeńca i wywieziono do Abanu. Bardzo nieludzkie obchodzenie się ze zbiegiem po jego ucieczce wynikało stąd, że gdyby nie udało się go pojmać, obaj oficerowie byłiby bez sądu rozstrzelani. Taki obyczaj panował w całej sowieckiej armii.

Wczesną wiosną wrócił z wojny syn przewodniczącego kołchozu Burina, Aleksiej. Na froncie stracił lewą rękę, był jednak ogólnie zdrowy. Wysoki, przystojny, wzbudzał, szczególnie wśród kobiet zachwyt i podziw. Mianowano go na kołchozowego brygadziestę. Do niego należało kierowanie wszystkich pracowników rano do pracy. Dosiadał zarodowego ogiera i jeździł od zagrody do zagrody wołając, że już czas do pracy. W ciągu dnia wizytował poszczególne brygady i w razie potrzeby pędził do roboty. Wszyscy się go bali bardziej niż Burina – ojca. Jego meldunki o złej pracy powodowały kary dyscyplinarne, a nawet więzienie. Upodobał sobie jedną z nauczycielek zamieszkałych w naszym domu. Przebywał u nas wieczorami, prywatnie był miły i wesoły. Opowiadał o pobycie na froncie i w szpitalu, gdy został ranny. A z frontu w dalszym ciągu nadchodziły powiadomienia o śmierci mieszkańców naszej wsi oraz o odniesionych ranach. Za każdym razem wywoływało to płacz krewnych i znajomych.

Jesień to pora siania zbóż zimowych odmian, a w szczególności żyta. W normalnych czasach siewy poprzedzane są orką. Teraz jednak nie było czym orać, a traktory ChTZ na żelaznych kołach sprawne były tylko dwa. Postanowiono wzruszyć ziemię pod zasiewy tylko kultywatorami, co z góry przesądzało o bardzo marnych zbiorach w przyszłe żniwa. W siewach brał również udział mój ojciec, ale nie przyszło mu już do głowy zabieranie ziarna siewnego do domu. Kołchozy syberyjskie były wyposażone w prymitywne narzędzia i sprzęt rolniczy. Na przykład wozy miały koła wykonane z jednego kawałka brzoźowego drewna, giętego po naporzaniu w gorącej wodzie. Koła nie miały żelaznych obręczy, osie były z drewna. Całe wozy były drewniane i prymitywne, nietrwałe i często ulegały awariom. Nasz przedwojenny sąsiad, Ignacy Skotnicki był z

zawodu kowalem, a jego brat Władysław kołodziejem. Postanowili oni wraz z miejscowym kołodziejem wykonać wóz taki, jakie były w użytku w Polsce. Ignacy wykonał żelazne osie, obręcze kół i inne okucia. Władysław zrobił wraz pomocnikiem drewniane części wozu. Przez kilka miesięcy pracowali nad swoją konstrukcją. Efekt ich pracy był nadzwyczajny. Wóz pomalowany na czarno dziegiem prezentował się znakomicie. Do wozu z jednym dyszlem (tutejsze wozy miały dwa dyszle) zaprzężono konie zarodowe i przeprowadzono próbną jazdę. Tubylcy nie mogli się nadziwić, że coś takiego potrafili zrobić kowal i kołodziej.

Zima nadeszła szybko jak zwykle. W połowie października spadł pierwszy śnieg, który nie stopniał do wiosny. Tak było każdego roku. Śniegu przez całą zimę tylko przybywało. Ojciec powrócił do swego poprzedniego zajęcia, tj. naprawy uprzęży, matka pracowała przy czyszczeniu zboża, ja wróciłem do szkoły, a siostra, mizerna i chorowita, przebywała w domu. Zmieniło się też miejsce naszego zamieszkania. Z nieznanym nam powodów musieliśmy opuścić dom Nataszy i zamieszkać u „Jegorychy”, wdowy, mieszkającej wraz z córką Lenką w domu o dwóch izbach. Dom był urządzony jak większość tutajszych, z piecem piekarskim, kominkiem i pryzami. Znajdował się na przysiółku gdzie nie było studni. Wodę w lecie i zimie dowoził woziwoda. Nasza gospodyni była kobietą w podeszłym wieku, miłą, czynną i życzliwą. Miała krowę i parę kurek. Mleka po udoju zawsze dawała mojej chorej siostrze. Pewnego dnia dostała list od swojej starszej córki, która mieszkała w mieście Chabrowsk na dalekim wschodzie. Ta pisała w liście, że w mieście panuje niesamowity głód i że przyjedzie niedługo do domu. Przyjechała wkrótce, a matka zamiast się cieszyć, płakała nad nią, bo była spuchnięta z głodu. Sprawdziło się powiedzenie, że „nie ma jak u mamy”.

Zima mijala spokojnie, z frontu nadchodziły lepsze wieści, Armia Czerwona powstrzymała niemieckie wojska i przeszła do ofensywy. Mniej nadchodziło wieści o śmierci bliskich, więcej wracało teraz rannych i chorych. Pod koniec kwietnia 1943 roku „wybuchła” jak co roku syberyjska wiosna. Brzozy, wierzby i czeremcha okryły się wiosennymi liśćmi. Modrzewie okryły się świeżym igliwem. Nie wspominam tu o drzewach owocowych, one na Syberii nie rosną, z uwagi na niskie temperatury. Rozpoczęły się w kolchozie wiosenne prace polowe. Niespodziewanie NKWD podało do wiadomości, że w Sielcach nad Oką generał Zygmunt Berling wraz z Wandą Wasilewską przystąpili do tworzenia Armii Polskiej. Ci, którzy byli zdolni do wojska, a nie poszli do Armii Andersa, dostali powołanie do armii. Mowa, że byli to tylko ochotnicy, jest ordynarnym kłamstwem. Prawie wszyscy posiadali rodziny, żony i dzieci. Nikt nie chciał w tych trudnych czasach opuścić najbliższych, ale każdy już wie, jakie kary groziły opornym. Z naszego kolchozu do wojska powołano: Ignaca Skotnickiego, Henryka Skotnickiego, Adolfa Skotnickiego, Stanisława Fijałkowskiego i jego syna Franciszka. Z kolchozu Słapce poszedł Jan Kudła, a z kolchozu Puszkino – Wojciech Zielonka i Michał Więckiewicz. Mojego ojca do wojska nie powołano, gdyż w 1920 roku w wojnie z bolszewikami został ranny pod Wapniarką (już po bitwie warszawskiej) i od tej pory miał słaby wzrok. „Sławna” bitwa pod Lenino (12-13 października 1943 r.) przyniosła i nam satysfakcję. Nasz sąsiad z Seńkowa, Adolf Skotnicki, mimo że potrójnie ranny, nie opuścił stanowiska bojowego, za co został odznaczony pośmiertnie Orde-

rem Bohatera ZSRR ze złotą gwiazdą. O tym wyczynie pisała cała prasa radziecka. Pod Lenino zginęli też bracia Adolfa Skotnickiego – Ignacy i Henryk oraz Fijałkowsy – Stanisław (ojciec) i Franciszek. Nie wiodło się rodzinie Skotnickich, bo mniej więcej w tym samym czasie zmarła żona Ignacego Zofia. Pozostało, bez opieki dorosłych, troje dzieci – Wisia, Władzia i Zygmunt.

Zimą na przełomie 1943 i 1944 roku zaszło w kolchozie nieznanie Polakom zdarzenie. Jak wcześniej pisałem, stogi siana i słomy stawiano blisko wsi, co ułatwiało karmienie koni. Zresztą tych, uchronionych od śmierci głodowej, było niewiele. Pewnego dnia posiadacze krów wypuścili je jak zwykle na pole. Dwanaście krów oraz jednoroczna jałówka zgromadziły się przy jednym stogu, wydzierając z niego przygarstki siana. W pewnym momencie blisko stogów ukazała się wataha 11 wilków. Próbowaly zaatakować krowy, lecz te widocznie już przeżyły takie ataki. Ustawily się w kręgu rogami na zewnątrz, jałówka schroniła się wewnątrz kręgu. Była tam względnie bezpieczna. Nie wytrzymała jednak nerwowo i przerwawszy krąg wybiegła na zewnątrz. Natychmiast jeden z wilków chwycił ją za ogon. Jałówka zaczęła się obracać w kółko, chcąc pozbyć się wilka, lecz ten wiedział co robi. Gdy zwierzę wykonało kilka obrotów, wilk szarpnął ją w drugą stronę i jałówka upadła. Wilki błyskawicznie rzuciły się na nią. Dwa chwyciły za gardło, pozostałe za nogi i grzbiet. Szanse zwierzęcia na wyrwanie się wilkom zmały do zera. We wsi wszyscy mężczyźni, którzy mieli broń i amunicję (tej często brakowało), pobiegli do stogu. Było już jednak za późno, zwierzę nie żyło i już nie miało wnętrzości. Jednego wilka zastrzelono. Jałówkę przywieziono do wsi. Mięso podzielono „sprawiedliwie”, to znaczy najpierw „naczalstwo”, potem reszta.

I wreszcie przyszedł ten upragniony, wymarzony dzień 20 sierpnia 1944 roku. Wracamy z Sybiru! Front już dotarł na teren Polski. Niemcy stawiali jeszcze opór, ale ogólna ocena była taka, że klęska ich nie minie, tym bardziej, że został utworzony drugi front. Na Niemców nacierali teraz nie tylko Rosjanie, ale Amerykanie, Anglicy, Kanadyjczycy, Francuzi, Polacy i inne pomniejsze państwa. Wojsko polskie to II Korpus generała Andersa, Dywizja Pancerna generała Maczka, Lotnictwo i Marynarka. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że tereny skąd nas wywieziono na Sybir zostaną włączone do ZSSR. Byliśmy przekonani, że wracamy do domu. Wyjazd Polaków na zachód był tak zorganizowany, że miejscowe władze z tych miejscowości, gdzie przebywali zesłańcy, były zobowiązane zapewnić podwozy⁸, by przewieźć ludzi do Abanu. Miały również dać żywność. Jazdę tak zsynchronizowano, by wszyscy, wieczorem 20.08.1944 r. byli gotowi do podróży. Ruszyliśmy rano 21 sierpnia 1944 roku. Cała kolumna samochodów ZIS-5 i MK dotarła do Kanska wieczorem. Samochody podjeżdżały pod wagony, wyładowywano tobołki, skrzynki i ludzi. Powracających było oczywiście dużo mniej od przywiezionych. Z tych, co znaleźliśmy, wracały z nami rodziny: Fijałkowsy, Skotniccy (tylko dzieci), rodzina Gutów, Jasińskich, Kudłów, Kucielów i Wienckowiczów. Nie wiem ile osób wróciło później, nasz bowiem transport był pierwszy, wiozący Polaków z Sybiru. Wagony były towarowe, miały prycze, otwór sanitarny i żelazny piecyk, służący tym razem tylko do gotowania. Drzwi nie były zamknięte! Zagęszczenie podróżnych było mniej-

⁸ Podwoda: a) obowiązek dostarczenia przez ludność środka transportu do dyspozycji organu administracji państwowej, także wojska; b) także taki środek transportu wraz z obsługą.

sze niż przy wywóźce. Władze nie interesowały się opałem do piecyków, każdy musiał się o to postarać własnym „pomyślunkiem”. Codziennie dawano chleb według ustalonej normy, w zaokrągleniu do jednego bochenka. Dano też po kilka kilogramów pęczaku na każdą rodzinę, można więc było ugotować kaszy. Na piecyku mieścił się jeden większy garnek lub trzy mniejsze, gotowano więc (gdy pociąg stał) na ogniskach. Nigdy nie było wiadomo, kiedy pociąg ruszy. Często trzeba było wsiadać z surową jeszcze strawą. Gdy pociąg stawał na stacji, a nie w polu (co często się zdarzało), można było nabrać wody lub coś kupić do jedzenia od przekupek, na przykład ziemniaków, cebuli, mleka itp. Zapas gotówki posiadanej przez zesłańców był bardzo mizerny, więc zakupy szybko się skończyły. Pewnego razu mama nie zdążyła wsiąść do pociągu i została z garnkiem na torach. Ojciec natychmiast wyskoczył i z nią został. Następnego dnia dołączyli do nas, jadąc pociągiem osobowym. Ile mieli kłopotów z NKWD, tego się nie da opisać.

Droga ciągnęła się bez końca. Pociąg miał długie postoje, bo pierwszeństwo na torach miały transporty wojskowe, zaopatrzeniowe, przewożące surowce, żywność, uzbrojenie. Obowiązywało hasło „wsio dla fronta”. Ale każda podróż musi się kiedyś skończyć i nasza na razie dobiegła kresu. Jakież było rozczarowanie, gdy okazało się, że Zaporozże to nasz cel, że nie pojedziemy do Polski. Zaporozże to duże miasto, w tym czasie liczyło około 300 tysięcy mieszkańców. Szczyciło się pierwszą wielką budową socjalizmu – pierwszą, dużą elektrownią wodną na Dnieprze – „Dnieproges”. O miasto, a w szczególności o elektrownię, trwały krwawe boje, było wielu rannych i zabitych, zburzone zostały domy, zakłady pracy, mosty i drogi. Nas wysadzono w Zaporozżu, załadowano do ciężarówek i zawieziono do chutoru (osady) Hasanowka (Hasanovka), odległej od miasta około 18 km. Zaporozże leżało wówczas na rozległym stepie, brak tam było w ogóle lasów czy zagajnika, wszędzie rozciągały się równiny, stanowiące żyzne pola uprawne. Step pocięty był polnymi drogami. Drogi obsadzono wszędzie drzewami „abrikosów” – moreli. Owoce były wielkości dużej śliwki, żółte lub beżowe, bardzo słodkie i smaczne. Podstawowe uprawy stanowiły kukurydza, pszenica, buraki cukrowe, słonecznik, kawony, dynie, pomidory i inne jarzyny. Uprawy te zajmowały dziesiątki hektarów. Cztery kilometry od Hasanowki leżało potężne lotnisko myśliwsko-bombowe. Tu lądowały amerykańskie superfortece bombardujące Niemcy. Załogi jeden dzień odpoczywały i leciały znowu na zachód. Bardziej na południowy zachód leżał ogromny sad drzew owocowych – jabłoni, wiśni, moreli, winogron, grusz, morwy, czereśni itp. – razem około 1000 hektarów. Tam gdzie sad, znajdowała się tzw. „Sicz Zaporoska”. Było to miejsce pobytu i zgromadzeń wojsk kozackich, co opisał w „Ogniem i mieczem” Henryk Sienkiewicz.

Nas Polaków, razem było siedemnaście większych i mniejszych rodzin. Z samochodów pozzrucano nasze tobołki prosto na plac i auta odjechały. Na „majdanie” było wybudowanych, już po przejściu frontu, kilka drewnianych baraków mieszkalnych, socjalnych i jeden biurowy z kuchnią dla traktorzystów i innych pracowników. Wzdłuż wiejskiej drogi stały domy mieszkalne i gospodarce tubylców – Ukraińców mieniących się jeszcze „kozakami dnieprzańskimi”. Przynależność do kozactwa podkreślali na każdym kroku. Obok chutoru w odległości około 1,5 km płynęła niewielka rzeczka, w niektórych miejscach głęboka na 4

metry i szeroka 10-15 metrów. W rzece leżały wielkie kamienie o średnicy kilku metrów wystające nad wodę. Stanowiły one „trampoliny” dla kąpiących się.

Rozglądaliśmy się po majdanie zastanawiając się, co mamy robić. Oprócz Polaków na placu znalazło się kilku tubylców – mężczyźni w cywilu, jeden oficer w mundurze w stopniu majora, oraz jedna Ukrainka, śliczna tęga kobieta w młodym wieku. Okazało się, że kobieta to brygadzystka „sowchozu” (po naszymu PGR-u), a oficer to naczelnik sowchozu. Kobieta rozmawiała z naczelnikiem trzymając w ręku dużą kolbę kukurydzy. Nam przez ostatnie dwa dni w pociągu nie dali do jedzenia nic, więc byłem piekielnie głodny. Miałem nawet zamiar podbiec do kobiety i wyrwać kolbę, ale się bałem. Jednak nie wytrzymałem, podszedłem do kobiety i poprosiłem, żeby mi dała tę kolbę – „Jestem strasznie głodny, nie jadłem już dwie doby” – powiedziałem po rosyjsku. Komendant i kobieta patrzyli na mnie jak na wariata, a kobieta też po rosyjsku – „Chłopcze, przecież za twoimi plecami jest 100-hektarowe pole kukurydzy, idź i bierz, ile ci potrzeba”. Ja na to: „On może mnie przecież zastrzelić” – wskazałem na oficera. Oboje z kobietą serdecznie się roześmiali i powtórzyli, że można zbierać, ile się chce. Pobiegłem do naszych i krzyknąłem, że można łamać kolby kukurydzy do woli. Polacy rzucili się w pole i za jakiś czas na ogniskach gotowała się kolacja. Zakwaterowano nas w barakach, każdej rodzinie przydzielono jedno pomieszczenie z czterema pryzkami, na których ułożono sienniki ze słomą. Był też stół, cztery prymitywne taborety i żelazny piecyk z fajerkami. W naszej części baraku zamieszkało sześć rodzin: Kudłów 3 osoby, Zielonków 3 osoby, Gutów 4 osoby, Jasińskich 3 osoby, Wojtyłów 4 osoby, oraz w maleńkiej izdebce pani Duda-Dudzińska, przedwojenna nauczycielka.

Matka została zatrudniona w magazynie zbożowym, gdzie oczyszczano zboże, workowano i wysyłano do Zaporozża wozami, do których zaprzęgano krowy. W kieszeniach kobiety wynosiły pszenicę, na co brygadzysta i naczelnik nie zwracali większej uwagi. Coś z tym ziarnem trzeba było zrobić. Po długich staraniach ojciec zdobył nieduże żarna, co umożliwiło przemiał pszenicy i kukurydzy na mąkę lub kaszę. Razem z otrzymywanym chlebem jedzenia było pod dostatkiem, nie tak jak na Sybirze. Ojciec wraz z innymi sprawnymi mężczyznami tubylcami i Polakami wykonywał koźmi zimową orkę dla wiosennych zasiewów. Na jednym kawałku pola orali – ojciec, 17-letni Janek Fijałkowski i Ukrainiec Pawło Haraszczuk, który ranny wrócił z frontu. Jak wcześniej napisałem, na tych terenach toczyły się krwawe walki z Niemcami. Były nawet pola, gdzie z uwagi na miny, niewypały, pozostawioną amunicję nie prowadzono uprawy, np. „odcinek 112”, gdzie kilkaset hektarów leżało odłogiem. W czasie orki Janek wyorał niemiecki granat w ebonitowej obudowie. Zatrzymał konie i stukając granatem w pługi chciał go rozebrać. Zauważył to Pawło, podszedł do niego, odebrał granat, odkręcił zapalnik i wyrzucił w krzaki tarniny rosnące przy drodze. Na drugi dzień orkę kontynuowali tylko ojciec i Janek. Z samego rana chłopak zostawił konie z pługiem i poszedł w krzaki szukać zapalnika. Ojciec w tym czasie był na drugim końcu pola. Zauważył jednak, co się dzieje, zostawił konie i biegł do niego. Dzielili ich zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy Janek znalazł zapalnik i wkręcił go do granatu. Rozległ się straszliwy huk i Janek upadł. Wybuch było słychać w chutorze i ci, co go słyszeli, pobiegli do oraczy. Janek leżał na ziemi, strasznie krwawił, miał rozszarpaną twarz i piersi, miał wybite oczy i urwaną prawą rękę, lecz jeszcze żył. Naczelnik sowchozu wezwał natychmiast furmankę zaprzęzoną w najszybsze konie i kazał za-

wieźć rannego do Zaporozża. Po przejechaniu około 3 kilometrów Janek zmarł. Przywieziono go do Hasanowki, gdzie został pochowany. Była to pierwsza krwawa ofiara wojny wśród zesłańców.

Nadchodziła nieuchronnie zima. W tych okolicach do palenia nie było ani drzewa ani węgla. Palono wszędzie, nawet w piekarni, słomą, badyłami kukurydzy i słonecznika. Każdy musiał sam, na własnych plecach przynieść opał. Powszechnie też do palenia używano burzanów rosnących na nieuprawianych polach. Jest to roślinność stepowa, gdzie indziej nierosnąca przez całą zimę. Troska o zdobycie opału była głównym zajęciem dorosłych i dzieci. Zimy tu były i są ostre, temperatura spada do -20°C . Szaleją też na stepie silne zawieje i zamiecie śnieżne. Na początku lutego 1945 roku ojciec udał się, za zgodą naczelnika sowchozu do Zaporozża, gdzie został utworzony wojewódzki oddział Związku Patriotów Polskich. Zajmował się on pomocą zesłańcom przebywającym w ZSSR, między innymi pomocą przesyłaną przez „UNRE”. Ojciec załatwił przysyłanie paczek pomocowych, a dla siebie pracę w ZPP w charakterze skarbnika. Musiał na to uzyskać zgodę „oblastnego” – wojewódzkiego NKWD. Taką zgodę otrzymał i pracował tam aż do 1946 roku. W tym czasie do naszego chutoru dostarczono kilka razy paczki z zawartością taką jak na Sybirze.

Kolejnym nieszczęściem, jakie spotkało zesłańców, była śmierć Władzi Skotnickiej. Z rodziny Skotnickich pozostały jak wiemy jedynie dzieci – Wisia 13 lat, Władzia 9 lat i Zygmus 7 lat. Mieszkały same w przydzielonym pomieszczeniu, jedynie od czasu do czasu pomagała im Irena Jasińska, kobieta jeszcze młoda i silna. Do oświetlenia pomieszczeń używano tu powszechnie kaganeków wykonanych z łusek pocisków przeciwlotniczych, długości 35 cm i średnicy 4 cm. Łuska na końcu była sklepana w taki sposób, żeby przez otwór przechodził knot. Z boku łuski, bliżej wylotu knota był wywiercony otwór, przez który wlewano naftę, a w razie gdy nafty brakowało, benzynę. Otwór powinien być zatkaany korkiem. Taki kaganek kopał straszliwie, ale było to jakieś oświetlenie. W pechowym dniu Wisia nałapała do kaganka benzynę i nieszczęśliwie zapomniała zatkać otwór. Kaganek postawiła na półce, gdzie zwykle stał. Wieczorem, gdy Wisia jeszcze nie wróciła z wyprawy po wodę do studni położonej na końcu wsi, Władzia zapaliła kaganek i chciała go postawić na półce. Kaganek wypadł jej z ręki, a benzyna oblała jej sukienkę i zapaliła się. Obecny przy tym Zygmus wybiegł z izby i prosił o ratunek sąsiadów. Przybiegły natychmiast trzy osoby z kocami, ugasiły pożar, ale Władzia była strasznie poparzona. Zawieziona do szpitala w Zaporozżu po dwóch dniach zmarła. Pochowano ją na cmentarzu w Zaporozżu.

Konieczność zbierania opału zmuszała do wejścia na teren pól nieuprawianych, zaminowanych, porytych okopami i schronami. Było to tzw. „wzgórze 112”. Rosły tam burzany wyższe od dorosłego mężczyzny. Ścinało się je motykami, wiązało w wiązki i zносиło do domu. W tych „zaroślach” znajdowało się kopce ziemne o średnicy u dołu około 1,5 metra i wysokości około 1 metra. Pod 15 centymetrową warstwą ziemi były ułożone kłosa pszenicy. Przed bitwą rosła tu pszenica i myszy zgromadziły zapasy na zimę. Z kłosów jednego „myszaka” uzyskiwało się wiadro czystego dorodnego ziarna. Na tym wzgórzu ciągnęły się na dziesiątki metrów okopy zasypane niedbale cienką warstwą ziemi. Okazało się, że pod spodem leżały luźno rzucone zwłoki niemieckich żołnierzy. Czaszki, resztki mundurów i kości walały się wzdłuż okopów.

W zaroślach burzanów zawianych śniegiem na około 30 cm, widać było tropy zajęcze. Trop zajęczy jest to ścieżka wydeptana przez zająca, biegającego w zimie tam i z powrotem dla utrzymania ciepłoty ciała. Z kuzynem Edkiem Zieloną postanowiliśmy zapolować na zające. Ze znalezionej gładkiej drutu zrobiliśmy wnyki (pętłe) i ustawiliśmy na kilku tropach. Następnego dnia z rana poszliśmy po burzan i by sprawdzić zastawione sidła. Jedna pętla została zerwana, druga też, ale w odległości 2-3 metrów miotał się żywy zając. Na szyi miał pętłę, której drugi koniec zaplątał się na tylnej nodze, nie mógł więc uciekać. Dobiliśmy zająca, umieścili w wiązce burzanu i przynieśliśmy do baraku. Zając był ogromny, tak że połówka przypadająca na każdego z nas był to kawał mięsa. Tym sposobem po zastawieniu sideł z mocniejszego drutu złowiliśmy kilka sztuk. Zdobyczą jednak nie mieliśmy zamiaru się chwalić. Skórki i kości spalaliśmy w piecyku.

Nareszcie przyszła upragniona wiosna, nie trzeba było tyle opału, łatwiej było przynieść wody ze studni z końca wsi. W sowchozie ruszyły prace polowe. Orano, siano, sadzono pomidory, kapustę, kawony itp. Matka codziennie, tak jak i inne kobiety, chodziła do pracy i pracowała do zmroku. Ojciec pracował nadal w Zaporozżu. Co dwa tygodnie przychodził pieszo do chutoru. Czasem przynosił parę konserw rybnych i skondensowanego, słodkiego mleka. Dzieliliśmy się tym z najbliższymi sąsiadami. Pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych nad chutorem rozległ się straszny ryk samolotu – superfortecy, który wystartował z lotniska. Przeloty samolotu nad wsią nie były czymś nadzwyczajnym, lecz tak nisko, tuż nad dachami żaden samolot nie leciał, a tym bardziej tak potężna maszyna. Dym ciągnący się za samolotem świadczył o tym, że coś się musiało stać. I stało się, samolot przeleciał jeszcze około 1,5 kilometra i runął na ziemię. Nastąpił wybuch, buchnęły płomienie, a części z bombowca doleciały nawet do wsi. Chłopcy z całej osady bez namysłu rzucili się do miejsca upadku samolotu. Przybiegliśmy tym razem z dwoma gazikami wojskowymi, które zdążyły z lotniska. Z załogi forticy znaleźliśmy tylko przedramię człowieka i kawałek skóry z głowy o rudych włosach. Przybyli z lotniska oficerowie – dwóch rosyjskich i dwóch amerykańskich przepędzili nas z miejsca zdarzenia. Przybyły również dwa samochody z wojskiem rosyjskim, otoczono teren i nikogo nie wpuszczano.

I wreszcie nadeszły z frontu dawno oczekiwane wiadomości – wojna się skończyła. 9 maja 1945 roku Niemcy podpisały kapitulację zarówno na froncie wschodnim jak i zachodnim. Co znaczył koniec wojny dla Polaków i Rosjan trudno odpowiedzieć. Ale sam dzień 9 maja był dniem radości, szczęścia i samoistnym świętem. Z lotniska do chutoru spieszyły grupy lotników, oficerów i podoficerów rosyjskich i amerykańskich, którzy dwa dni wcześniej przylecieli po bomby. Byli wśród nich muzycy, śpiewacy, tancerze. Rozpoczęły się tańce z kobietami z okolicznych wiosek. Tańce, gościna i śpiewy trwały do rana. Litry szampana, bimbru i wódki łąły się w czasie całej biesiady. Po dwóch dniach świętowanie zakończyło się i nadeszły szare dni. Z lotniska odleciały wszystkie samoloty zagraniczne. A szum przy tym nad wsią był niesamowity!

Polacy – zesłańcy nabrali pewności, że powrót do Polski nastąpi bardzo szybko. Jednak w Związku Patriotów Polskich nikt nie ukrywał, że powrót do kraju jest zależny tylko od władz radzieckich, a te na razie mają inne problemy do załatwienia. Trzeba było cierpliwie czekać. Jeszcze w zimie 1944/1945 oj-

ciec uzgodnił z panią Duda-Dudzińską, która była przed wojną nauczycielką w gimnazjum, że będzie ona w tajemnicy przed władzami radzieckimi nauczać polskie dzieci języka polskiego. Zbieraliśmy się wieczorami za każdym razem u innej rodziny i uczyli czytać i pisać po polsku. Ci, którzy przed wojną chodzili już do szkoły, mieli zadanie ułatwione, a tacy jak ja zaczynali wszystko od początku. Pani Dudzińska opowiadała nam dużo o dziejach Polski, o czasach chwały polskiego oręża. Sama interesowała się wojskowością chociażby z tego względu, że mężem jej był przedwojenny kapitan kawalerii Zygmunt Duda-Dudziński. Został on powołany do I Dywizji Wojska Polskiego i brał udział w bitwie pod Lenino, gdzie wyróżnił się w boju, zasługując na odznaczenie. Docenili to nawet dowódcy rosyjscy, przedstawiając go do odznaczenia „Orderem Suworowa”. Publiczne nadanie odznaczeń odbywało się przed frontem pułku. Wywołany do odznaczenia Duda-Dudziński odmówił przyjęcia odznaczenia, oświadczając na głos: „Nie będę nosił odznaczenia generała, który doprowadził do rzezi polskich dzieci na Pradze w czasie Powstania Kościuszkowskiego w 1794 roku”. W tym samym dniu kapitana Duda-Dudzińskiego wywieziono z pułku i ślad po nim zaginął. O tym wydarzeniu opowiadał mój wujek Wojciech Zielonka, który służył w tym samym pułku.

Nadeszło wreszcie stepowe lato. Dni były słoneczne, upały dawały się wszystkim we znaki. Po dniach upalnych następowały chwile ulgi i odprężenia. Ni stąd ni zowąd na niebie pojawiały się czarne chmury, zrywał się piekielny wiatr i lało jak z cebra. Po kilkunastu minutach deszcz nagle ustawał, na niebo wychodziło znowu słońce. Rowami, drogami płynęły strugi ciepłej wody. Dzieci miały niesamowitą zabawę. Ulewie towarzyszyły nieustanne gromy i błyskawice, które rozlegały się coraz dalej, a na niebie pojawiała się przepiękna tęcza. W upalne dni podstawową rozrywką dzieci, a także dorosłych była kąpiel w rzece Moskowce przebiegającej około 1,5 kilometra od chutoru Hasanowka. Rzeczka była wąska – miała około 15 metrów szerokości, lecz w niektórych miejscach głębokość dochodziła do 4 metrów. W rzece łowiono wiele ryb, nie dużych – do 40 cm i ogromne ilości raków. Raki były bardzo duże, dochodzące do 35 cm długości. Łowiono je ręcznie, szukając dziur w brzegu poniżej zwierciadła wody. W tych otworach można było się natknąć na żmije wodne. Były jadowite i agresywne, owijały się dookoła ręki. Trzeba było zdjąć żmiję nie wyjmując ręki z wody, inaczej żmija gryzła a ukąszenia były często śmiertelne. Łowienie ryb i raków było dozwolone z wyjątkiem połowu siecią. Inną rozrywką dla dzieci i młodzieży były wyprawy do kina na lotnisku, tym bardziej, że wpuszczano je za darmo. Filmy wyświetlano 3 razy w tygodniu. Dzieci dobrowolnie zatrudniano przy zwalczaniu szkodników polnych, a w szczególności susłów stepowych.⁹ Są to gryzonie wielkości średniego kota domowego, koloru

⁹ Suszeł moregowany – ssak zaliczany do rodziny wiewiórkowatych. Jest to gryzoń wielkości szczura. Ciało jego ma długość 20-23 cm, a ogon – 5,5-8 cm. Zamieszkuje tereny bezleśne, głównie pastwiska, nieużytki i pola. Jest aktywny w ciągu dnia. Zamieszkuje głębokie nory, które różnią się od króliczych tym, że przed norami susłów nigdy nie ma wykopanej ziemi, zwierzęta wynoszą ją bowiem w torbach policzkowych i wyrzucają w oddalonych miejscach. Nory mają bardzo skomplikowaną budowę: jest to system długich chodników kończących się komorą mieszkalną, w której znajduje się dobrze wymoszczone gniazdo. W miejscu tym susły zarówno przesypiają noc w okresie aktywności wiosenno-letniej, jak i zapadają w głęboki sen zimowy, który zwykle trwa

kości słoniowej. Susły żyją pod ziemią; drażą komorę łęgową oraz kilka otworów prowadzących na zewnątrz. Żywią się roślinami, na przykład pszenicą, burakami cukrowymi czy pastewnymi, kawonami itp. Tu też zakładają gniazda. W kołchozie szczególne szkody wyrządzały w burakach cukrowych. Małe rośliny zjadały w całości, gdy buraki wyrosły, nadgryzały bardzo dużą ich ilość. Walka z susłami polegała na tym, że do jednego otworu wlewało się dużo wody, tak żeby gniazdo i korytarze wypełniły się wodą. Chłopcy z porządnymi kijami obstawiali przyległe otwory, przy każdym po dwóch. Suseł, by się nie utopił, wyskakiwał z otworu, wtedy ogłuszaliśmy go kijami. Wodę dowożono w beczkowozach ciągnionych przez krowy. Przy tej pracy można było zarobić parę rubli na drobne wydatki na bazarze, na przykład bułki.

Wczesnym latem rozpoczynały się wyprawy do „Siczy”. Tysiąc hektarów sadu dawało możliwość zdobycia (nielegalnie) wszelkiego rodzaju owoców. Pod koniec czerwca nadchodził „sezon” na czereśnie, potem na wiśnie, wczesne jabłka, śliwki, gruszki, winogrona itp. Sad był pilnowany przez strażników na koniach, uzbrojonych w szable i karabiny. Patrole poruszały się drogami otaczającymi sad. Ogrodzenie sadu stanowił żywopłot akacjowy tak gęsty, że można go było pokonać tylko pełzając na brzuchu. We wnętrzu sadu byli również strażnicy poruszający się pieszo. Nasze wyprawy po owoce organizował 15-letni Ukrainiec Pawło Pałenko, który uczył się w gimnazjum we wsi Natalewka, położonej w odległości 4 km od Hasanowki. Do swojego „oddziału” zaangażował samych Polaków. Należeli do zespołu: Pawło Pałenko, Bimko Fijałkowski, Władek Zielonka i Romek Wojtyło. Na wyprawy chodziliśmy mniej więcej dwa razy w tygodniu. Zawsze nam się udawało zmylić strażników i przynieść немало owoców. Bez jakichkolwiek ograniczeń mogli wynosić z sadu (dla własnych potrzeb) piloci rosyjscy, amerykańscy i francuscy, przebywający na wojskowym lotnisku. W czasie lata i jesieni moja mama zgromadziła pełny worek suszonych jabłek, gruszek i śliwek, które przywieźliśmy do Polski. W połowie lata nadchodził czas wypraw na „basztan” – kilka hektarów pola, na którym zasadzono kawony, dynie jadalne na surowo, pomidory bezpalikowe i inne warzywa. Na te wyprawy chodziliśmy późnym wieczorem, gdyż w dzień w niskich warzywach każdy był widoczny. Były jednak i dłuższe wyprawy.

W okresie żniw wymłócone zboże sypano na ziemi w ogromne przyzmy bez żadnego przykrycia. Zboże narażone było na opady deszczu, ale nie było innego wyjścia, gdyż zbudowane przed wojną „ambary” – magazyny były zbyt małe. Przyzmy zboża były strzeżone przez uzbrojonych wartowników, przeważnie ludzi starszych lub kalekich, którzy wrócili z frontu. Nieznane były jednak przypadki, aby wartownicy kogoś aresztowali lub zranili. A były ku temu powody. Jeszcze gdy trwała wojna, ale front doszedł za Wisłę, w Zaporozżu i innych miastach powstawały bazy – targowiska, na których handlowano żywnością, odzieżą i czym się dało. Przeważał handel wymienny. Za wiadro pszenicy, słonecznika czy kukurydzy można było dostać spodnie, koszulę, marynarkę, czy inną część garderoby. Ci, którzy mogli unieść wiadro ww. produktów, nieśli

aż 7 miesięcy (stąd popularne powiedzenie: „śpi jak suseł”). Zdarza się również, że w czasie długotrwałej suszy i podczas upalnego lata susły zapadają w krótki sen letni i pojawiają się ponownie dopiero jesienią, by po kilku tygodniach ponownie zasnąć, tym razem już na zimę. Pożywienie susła stanowią głównie zielone rośliny, bulwy, nasiona, jagody oraz owady, myszy i ptasie jaja.

je na bazar ze swego sowchozu, ale byli i tacy, co podbierali zboże z przyzmy położonych bliżej Zaporozża, by tak daleko nie dźwigać. Gdy kradziono ziarno, dozorczy przechodzili na drugą stronę przyzmy, by nie widzieć, co tam się dzieje. Z Sybiru wróciliśmy wszyscy ubrani w odzież szytą z płótna zgrzebnego ufarbowanego na brązowo korą modrzewiową. „Handlując” zbożem zaopatrzyłem matkę, siostrę i siebie w jakie takie odzienie i obuwie. Ojciec jako urzędnik Związku Patriotów Polskich tam otrzymał porządne ubranie z UNRY.

Czas zbioru słonecznika był momentem, kiedy zaopatrywaliśmy się w olej słonecznikowy. Wyruszyliśmy w nocy na pola obsiane słonecznikiem, a było tego kilkadziesiąt hektarów, rozścielaliśmy płachty, znosili głowy słonecznika i młóciliśmy. Wydawało się nam, że naszej stukaniny nikt nie słyszy. Było jednak inaczej. Pewnej nocy wybraliśmy się z kuzynem Edkiem po słonecznik. Weszliśmy w pole położone blisko Siczy. Już mieliśmy co najmniej dwa wiadra ziarna, gdy rozległ się blisko nas trzask łamanych badyli i tętent konia. Przywarliśmy do ziemi myśląc, że strażnik nas nie znajdzie, ale się omyliliśmy. Strażnik pilnował sadu, lecz usłyszał nasze stukanie, podjechał i stanął za nami. „No, tym razem nas aresztują i poślą do poprawczaka...” Nic takiego jednak się nie stało. Strażnik zsiadł z konia, sprawdził, ile mamy ziarna, wyciągnął spod bluzy pusty worek. Kazał ziarno wsypać do worka, worek przytroczył do siodła, siadł na konia i odjechał życząc nam „powodzenia w pracy”. Ziarno słonecznikowe wymienialiśmy na olej we wsi Natalewka, gdzie działała tłocznia oleju. Nikt nikogo nie pytał, skąd ma ziarno.

Oprócz zajęć, które przynosiły korzyść całej rodzinie, zajmowaliśmy się często szkodliwymi rzeczami. Na przykład rzucaniem granatami do kamieniołomu... Za odcinkiem 112-tym znajdował się zespół nieczynnych kamieniołomów wypełnionych wodą. Od krawędzi do zwierciadła wody było około 20m metrów, a głębokość wody sięgała 15 metrów. Jak wcześniej napisałem, był to teren nieuprawianej ziemi ze względu na pozostałości amunicji, granatów, min przeciwpiechotnych i innego uzbrojenia. Na tym polu znajdowaliśmy granaty obronne, zaczepne i przeciwpancerne. Chłopcy wrzucali je do kamieniołomów, gdzie wybuchały i głużyły ryby – sumiki kanadyjskie z ośmioma wąsami. Ryby te były karłowate i nie dłuższe niż 40 cm. Po ogłuszeniu wypływały na powierzchnię i można było je wylawiać. Sztuka rzucania granatem polegała na tym, że po wyjęciu zawleczonego granatu niezwłocznie rzucić. W innym przypadku wybuch nastąpi w ręku, co jest równoznaczne z natychmiastową śmiercią. Tak zginął nasz kolega Ukrainiec Wiktor Garnowski, wychowanek domu dziecka z Zaporozża, pracujący w lesie w naszym sowchozie. Innym nieszczęśliwym wypadkiem była śmierć sześciu chłopców, w tym dwóch Polaków, przy rozbijaniu pocisków artyleryjskich. Chłopcy w wieku od 9 do 13 lat niedaleko naszego osiedla rozbili sześć pocisków 76 mm. Przy przecinaniu kolejnego nastąpił wybuch. Był tak mocny, że szczątki rozerwanych doleciały aż do chutoru. Bawienie się amunicją było rzeczą powszechną i nikt nie zwracał na to uwagi. Wiadomość o rozerwaniu sześciu malców dotarła do zaporoskiego NKWD. Pewnego wieczoru, tuż po zmierzchu zebraliśmy się na pobliskim placu, rozpaliliśmy ognisko i strzelaliśmy amunicją karabinową. Nagle ze wszystkich stron otoczyli nas żołnierze i oficerowie z długimi wierzbowymi kijami i bili wszystkich zgromadzonych. Części z nas udało się uciec, ale większość tak oberwała, że musieliśmy przez kilka dni leżeć w łóżku. Od tej pory zaprzestano strzelaniny w sposób zbiorowy. Zdarzały się jednak pojedyncze wypadki. Ta-

kim był pożar baraku biurowego. W tym baraku mieściło się biuro sowchozu, hotelik dla traktorzystów, stołówka, kuchnia i inne pomieszczenia gospodarcze. W pomieszczeniu obok kuchni zgromadzono dużą ilość słomy i burzanu do palenia. Dwóch chłopców strzelało z procy pociskami zapalającymi od przeciwlotniczych karabinów maszynowych. W procy jedna z gum się urwała i pocisk wpadł niespodziewanie przez okno do pomieszczenia z opalem. Nastąpił natychmiast ogromny pożar. Gaszenie przy pomocy wiader nic nie dało i barak spalił się doszczętnie. Przeprowadzone przez NKWD dochodzenie nie ustaliło sprawców pożaru, ale błąd strach ogarnął wszystkich i strzelaniny ustały.

Nadchodziła jesień. Ludzie zbierali gdzie się dało opał na zimę, słomę, badyle kukurydzy, słonecznika i burzanu. Należy podkreślić niesłychaną uczciwość mieszkańców, którzy pod żadnym pozorem nie brali cudzego opału. Do chutoru wracali ciągle ludzie z wojska, którzy zajmowali się pracą w sowchozie, ale nie stronili od polowań na zające, co pozbawiło nas możliwości polowań zająć w sidła. Łowy zresztą były możliwe dopiero po opadach śniegu, a te jeszcze nie nastąpiły mimo wystąpienia przymrozków nawet w dzień.

Z Zaporozża coraz częściej dochodziły wieści o organizowaniu przez Związek Patriotów Polskich powrotu zesłańców do Polski. Wtedy dowiedzieliśmy się, że dawne Kresy Wschodnie zajęte przez Związek radziecki po 17 września 1939 roku nie będą należały do Polski, lecz zostaną wcielone do Związku Radzieckiego. Zesłańców z Sybiru miano osiedlić na Ziemiach Odzyskanych sięgających od Nysy Łużyckiej, Odry na zachodzie, a do Morza Bałtyckiego na północy. Wywołało to wśród Polaków rozczarowanie i gorycz zmieszana z radością, że mimo wszystko będziemy żyć we własnym kraju. Nadszedł wreszcie ten dzień 17 lutego 1946 roku, oczekiwany od sześciu lat, kiedy to zawieziono nas na stację kolejową w Zaporozżu, załadowano do bydłowych wagonów wyposażonych tak jak poprzednio. Rosyjskie władze bardzo dokładnie sprawdzały, czy z zesłańcami nie zabierali się do Polski obywatele rosyjscy. Chętnych nie brakowało, lecz było to praktycznie niemożliwe. Po przekroczeniu nowej granicy Polski byliśmy już pewni, że znajdujemy się na terytorium polskiego kraju. Był to pierwszy transport z zesłańcami wracającymi z Syberii.

Podróż naszej rodziny i rodziny Zielonków zakończyła się w Tarnowie. To z terenów województwa krakowskiego pochodzili moi rodzice. To stamtąd wyjechali na wschód do województwa tarnopolskiego za tańszą ziemią, co doprowadziło do zesłania na Syberię. W okolicach Tarnowa – Zalipiu i Samociach przebywaliśmy u krewnych ojca do pierwszych dni marca 1946 roku, a następnie osiedliliśmy się na tzw. Ziemiach Zachodnich, ale to już całkiem inna opowieść.